**Dziś w numerze:** K. BADZIAK **Filon i Laura na etacie Azotów** ● T. WOJCIECHOWSKA **Jeden-zero dla zwierząt** ● **Przyjemna noc** ● R. GLUTH **Lekarzu lecz się sam** ● **Tryptyk o miłości** ● **Błąd**

# odgłosy

21 (514)
25. V. 1969 r.
Cena 1.50 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XII

ANDRZEJ MAKOWIECKI

## Portret wieku DOJRZAŁEGO

Historii tej ziemi najlepiej uczyć się od Zygmunta Buchwalda, mistrza modelarskiego z Fabryki Samochodów Osobowych na Żeraniu.

Godny, siwy, sześćdziesięcioletni mężczyzna, nie zaprzątający sobie bynajmniej głowy myślą o emeryturze — urodził się dokładnie w tym miejscu, w którym teraz pracuje, a do szkoły chodził tam, gdzie obecnie mieści się budynek dyrekcji i administracji zakładu.

— Pelcowizna — wspomina — bo tak się niegdyś dzisiejszy Żerań nazywał, leżała w początkach naszego wieku poza granicami wielkiej Warszawy i podlegała gminie Targówek. Była to okolica najbiedniejszych ludzi i najbrzydszych domów, sklepików żydowskich, w których mniej więcej od połowy każdego miesiąca trzy czwarte ludności zaopatrywało się na kredę, niemieckich barów i piwiarni, gdzie robotnicy usiłowali zagłuszyć swoje niepokoje i troski. Centralną budowlą Pelcowizny był spleśniały dworzec kolejowy, z którego odchodziła ciuchcia do Modlina i Jabłonny. Centralną warstwę społeczną stanowili zatem kolejarze, zarabiający, jak mój ojciec, po dziesięć—dwanaście rubli na miesiąc, z których co najmniej trzy ruble pochłaniała opłata za mieszkanie w ciasnych i wilgnych facjatach. Miałem czworo rodzeństwa, i ojca nie było stać, aby, nie mówiąc już o paltach, kupić wszystkim buty... Pamiętam, że niejednej zimy wybiegałem chyłkiem z domu i ślizgałem się po zamarzniętych sadzawkach na bosaka. Ale najbardziej utkwił mi w pamięci pogrzeb dwóch robotników zastrzelonych za kolportaż socjalistycznej bibuły oraz pochód pierwszomajowy, który pewnego roku, w samo południe, przeciągnął główną ulicą osady powiewając czerwienią transparentów. Do masakry, jak mówił ojciec, nie doszło tylko dlatego, że akcja była dokładnie przygotowana: robotnicy upili z samego rana prawie wszystkich żandarmów i strażników...

2.

Warszawa anno domini 1969.
Pierwszy Maja.
Przeszło trzy i pół godziny trwał ulicą Marszałkowską majowy, dwudziesty piąty już pochód w wyzwolonej stolicy.

„Rozpoczyna się trzecia godzina manifestacji — pisał na drugi dzień sprawozdawca „Życia Warszawy". — Przed trybuną kolumny z Pragi. Maszeruje załoga Żerania, dzięki której tak wiele „Polskich Fiatów" jeździ po naszych drogach. Kolumna zatrzymuje się przed trybuną. Wznosi się w górę prawdziwy las chorągiewek, kwiatów, barwnych chust. To pozdrowienia FSO dla kierownictwa partii i rządu. Rozbrzmiewa ze środka kolorowego pochodu tradycyjne „Sto lat". Władysław Gomułka dziękuje za spontaniczną owację. Odbiera z rąk robotniczej delegacji Żerania wiązankę biało - czerwonych kwiatów".

Tak wyglądał przemarsz kolumny Żerania, dawnej Pelcowizny, która po wojnie...

Ale oddajmy głos Zygmuntowi Buchwaldowi i historii.

3.

Tuż po wyzwoleniu pracowałem w magistracie, a następnie w przedsiębiorstwie budowlanym. Remontowałem między innymi hotel dla rządu, który miał przyjechać z Lublina. Od początku byłem w PPR. Działałem także jako radny w dzielnicowej i stołecznej komisji kultury. W czterdziestym ósmym powróciłem na Bródno i podjąłem pracę we właściwym swoim zawodzie modelarza przy kolejowej

Dalszy ciąg na str. 5

ZOFIA TARNOWSKA

## W hipnotycznym śnie

**Ośrodek Chirurgii Estetycznej w Warszawie. Wchodzi się tam przez... sklep kosmetyczny. Na piętrze mieści się (w niezwykle skromnych warunkach lokalowych spółdzielni lekarskiej) jedyna w kraju placówka, której sława sięga daleko.**

W gabinecie lekarskim, typowo wyposażonym, siadam przy biurku. Naprzeciwko mnie znajduje się kozetka, na której w ciągu blisko dwóch godzin mojej obecności usypiali snem hipnotycznym pacjenci profesor Marii Szulcowej, długoletniego kierownika Zakładu Chemii i Biochemii Akademii Wychowania Fizycznego w Warszawie, teoretyka i praktyka wiedzy hipnologicznej, którą pogłębiła dwa lata temu na specjalnym naukowym kursie na uniwersytecie w Jenie — jednym z największych w świecie ośrodków badań hipnologicznych z dużym dorobkiem i bogatą tradycją. (Tu wykładał hipnologię prof. R. Heidenhain, którego słuchaczem był m. in. sławny Pawłow — twórca nauki o odruchach warunkowych). Prof. Szulcowa praktykuje obecnie w Ośrodku Chirurgii Estetycznej „zdobyta" przez jego kierownika i chirurga dr Kobosa.

Pacjent, który wchodzi do gabinetu jest młody, wysoki, przystojny.

— Proszę się wygodnie położyć, rozluźnić mięśnie — prof. Szulcowa wydając dyspozycje zajmuje miejsce u wezgłowia.

— A teraz spokojnie, zupełnie spokojnie, wszystkie myśli ulatują, pozostaje tylko jedna: zamknąć oczy. Czuje się pan dobrze, o niczym pan nie myśli, oddycha pan głęboko, zasypia. Śpi pan głębokim snem. Ma pan świetne samopoczucie, jest pan zupełnie odprężony, o niczym pan nie myśli i tylko jedno słowo, które ja za chwilę powiem wywołuje u pana niepokój...

Pacjent zasypia w ciągu kilkunastu sekund. Monotonny i łagodny głos hipnotyzującej podnosi się i nabiera stanowczości:

Dalszy ciąg na str. 4

## ze ŚWIATA

*Kampania wyborcza do Sejmu i rad narodowych zbliża się do punktu kulminacyjnego. Na licznych spotkaniach, jakie z wyborcami odbywają kandydaci na posłów i radnych, podejmowana jest również problematyka międzynarodowa. W sobotę, w czasie przedwyborczej rozmowy z mieszkańcami prawobrzeżnej Warszawy, Władysław Gomułka zarówno w swoim wystąpieniu, jak i odpowiedziach na pytania wiele uwagi poświęcił kwestii europejskiego bezpieczeństwa, apelowi budapeszteńskiemu oraz polityce NRF.*

*Dokonując analizy tej polityki wobec Polski od 1949 roku — I Sekretarz KC PZPR podkreślił, że od pewnego czasu w określonych kołach NRF uwidaczniają się jak gdyby nieco odmienne tendencje. Dziś trudno ustalić, czy dyktuje je taktyka wyborcza SPD, czy też jest to próba urealnienia polityki. Jedno wszakże jest pewne: jeśli NRF pragnie pokojowo współżyć w Europie — musi stanąć na realnym gruncie i uznać polityczną mapę naszego kontynentu. Na żadną prowizorkę w sprawie granic — co w istocie proponuje wicekanclerz Brandt, sugerując ostateczne uregulowanie zagadnienia na konferencji pokojowej, poświęconej problemowi Niemiec — Polska się nie zgadza.*

*Należy oczekiwać, że zwłaszcza ta część przedwyborczego przemówienia Władysława Gomułki spotka się z szerokim odzewem w Europie i na całym świecie.*

* * *

*Przejdźmy teraz do innego zagadnienia.*

*Najpierw były głośne zapowiedzi i długie konsultacje, na które z Paryża przyleciał specjalnie przewodniczący delegacji amerykańskiej — Cabot Lodge. Potem natomiast okazało się, że w koncepcjach nie zmieniło się nic, a tylko zewnętrzne opakowanie.*

*Radiowo-telewizyjne przemówienie prez. Nixona, w którym przedstawił on propozycję Waszyngtonu rozwiązania konfliktu wietnamskiego, następnie oficjalnie zgłoszone na konferencji paryskiej, musi rozczarowywać. W 8-punktowym planie, będącym odpowiedzią na program NFW, USA podtrzymują swe stanowisko: nie godzimy się na wycofanie wojsk amerykańskich i satelickich bez równoczesnego opuszczenia terytorium południowego Wietnamu przez wojska DRW. Tego, że poza amerykańskimi i satelickimi nie ma w tym kraju żadnych innych wojsk OBCYCH, propozycje Nixona nie zauważają. Zakładają one, że w ciągu roku wycofają się główne siły obu stron, inne natomiast pozostałyby jeszcze przez pewien czas w zamkniętych rejonach. Proces wycofywania się byłby nadzorowany przez międzynarodową grupę obserwatorów, w czasie obecności których odbyłyby się wybory.*

*Taka koncepcja opiera się o nonsensowną zasadę wzajemnego wycofania, stawiając znak równości między napastnikiem i napadniętym. Miesza ona problem wycofania wojsk USA z zagadnieniami, których przedyskutowanie należy do samych Wietnamczyków. Praktycznie odrzuca też propozycję utworzenia tymczasowego rządu koalicyjnego.*

*W kołach ONZ słusznie podkreśla się, że w ten sposób Nixon nie wyszedł naprzeciw programowi NFW, właściwie nie ogłaszając — nawet symbolicznego — wycofania się z Wietnamu. Jego plan może natomiast, pozorując dobrą wolę, na pewien czas uciszyć przeciwników wojny w USA oraz dać czas i swobodę administracji do manewrowania.*

*Konferencja paryska ma obecnie do rozpatrzenia dwa programy w sprawie Wietnamu: Narodowego Frontu Wyzwolenia i Stanów Zjednoczonych. Pierwszy konkretny i elastyczny, drugi — nie otwierający perspektyw łatwego rozwiązania kryzysu w skali globalnej, świadczący o sztywności waszyngtońskich doktryn politycznych. Wskazuje to, że również dalszy ciąg rozmów paryskich będzie trudny. Mimo to obecny impas może być przezwyciężony. Są bowiem wyraźnie już określone „punkty zaczepu" dyskusji, i są — w propozycjach USA — celowe niedomówienia. Można więc oczekiwać, że czterostronna konferencja wyjdzie z jej aktualnego martwego punktu.*

*We Francji oficjalnie już trwa kampania wyborcza. Ostatecznie o fotel prezydencki ubiegać się będą: G. Defferre, L. Ducatel, J. Duclos, A. Crivine, A. Poher, G. Pompidou i M. Rocard.*

*Utrzymuje się przekonanie, że końcowy etap walki o najwyższy urząd w państwie rozegra się między G. Pompidou a A. Poherem. Obecnie wcale nie jest łatwo stwierdzić, kto z nich może być zwycięzcą. Będą o tym z pewnością decydować głosy lewicy — kto je otrzyma w II turze głosowania po przypuszczalnym wyeliminowaniu kandydatów lewicy — ten pokona przeciwnika. Jeśli wierzyć ankietom, sondującym opinię, dziś szanse są niemal wyrównane.*

*W. SŁAWSKI*

# LAUREACI V „RUBINOWEJ HORTENSJI"

Ósmego maja br. odbył się w Piotrkowie Trybunalskim finał V, niejako jubileuszowego, konkursu literackiego o „Rubinową Hortensję 1969". Organizatorami konkursu byli: Wydział Kultury Prezydium WRN w Łodzi, Łódzki Oddział Związku Literatów Polskich, Zarząd Wojewódzki ZMS oraz Wydział Kultury Prezydium MRN w Piotrkowie, „Gazeta Ziemi Piotrkowskiej", Zarząd Miejski ZMS w Piotrkowie i Huta Szkła „Hortensja".

Na konkurs napłynęło 200 wierszy i 26 opowiadań od 60 początkujących adeptów sztuki pisarskiej z województwa zielonogórskiego, kieleckiego, olsztyńskiego, łódzkiego i miasta Łodzi.

Aby bardziej zacieśnić kontakt między młodymi twórcami a jednym z głównych organizatorów konkursu impreza odbyła się w pięknie udekorowanej świetlicy huty „Hortensja". Ponadto dyrektor zakładu zapoznał zebranych z historią huty szkła, po czym finaliści, zaproszeni goście i przedstawiciele załogi zwiedzili ten, liczący 80 lat, zakład.

Następnie przewodniczący jury Jan Huszcza ogłosił wyniki konkursu. W dziale poezji rewelacją okazał się młodziutki poeta z Zielonej Góry, Czesław Sobkowiak, który za wiersz „Ojczyzna" otrzymał I nagrodę, za wiersz „My" III nagrodę, a ponadto puchar, „Rubinową Hortensję". Zdobywcą II nagrody został Feliks Rajczak ze Zduńskiej Woli za wiersz „Stary hutnik".

W dziale prozy nie przyznano I nagrody. Dwie równorzędne drugie nagrody oraz puchary „Rubinowa Hortensja" otrzymali: Ryszard Binkowski ze Rzgowa za opowiadanie „Te cygańskie noce" i Jan Mieszczankowski z Tomaszowa za utwór „Ściana". III nagrodę w tym dziale zdobył Jacek Indelak za opowiadanie „Trzy dni — tak krótko".

Ponadto jury, w skład którego wchodzili Wiesław Jażdżyński, Jan Huszcza i Jadwiga Pilichowska z Wydziału Kultury WRN, przyznało wyróżnienia. W dziale poezji otrzymali je: Edward Zyman z Radomska i Antoni Ryszard Hajczuk z Łodzi, a w dziale prozy Roman Cielecki z Radomia i Ewa Denys z Łodzi.

Nagrodzone i wyróżnione utwory prezentowali publiczności laureaci wojewódzkich i powiatowych eliminacji konkursu recytatorskiego.

**R. B.**

## Andrzej Makowiecki laureatem

**Rozpisany przez redakcję tygodnika „Sportowiec" oraz wydawnictwo „Sport i Turystyka" konkurs literacki na opowiadanie, który wzbudził ogromne zainteresowanie piszących, czego najlepszym dowodem 150 nadesłanych prac, został właśnie rozstrzygnięty. Miło jest nam donieść, że jury pod przewodnictwem Jerzego Putramenta przyznało I nagrodę w wysokości 8.000 zł naszemu redakcyjnemu koledze, Andrzejowi Makowieckiemu, za opowiadanie pt. „Finał". Jego bohaterką jest żona boksera.**

**Serdecznie gratulując laureatowi pięknego sukcesu pragniemy dodać z dziennikarskiego obowiązku, że Andrzej Makowiecki jest także współautorem książki pt. „Boss", której akcja rozgrywa się na Ziemiach Zachodnich.**

**ŁODZIANIE W KARYKATURZE**

**FELIKS ŻUKOWSKI**
**aktor, reżyser, dyr. Teatru im. Jaracza**
*Rys. S. Arabski*

# Rozstrzygnięcie konkursu z okazji 50-lecia KPP

13 maja br. rozstrzygnięty został konkurs na wspomnienie; opowiadanie, reportaż o tematyce związanej z działalnością KPP, rozpisany przez Wydział Kultury WRN, Wojewódzkie Towarzystwo Upowszechniania Kultury, „Głos Robotniczy", Łódzką Rozgłośnię Polskiego Radia i tygodnik „Odgłosy" z okazji 50-lecia KPP.

Jury w składzie: **Jan Koprowski** (przewodniczący), **Jadwiga Pilichowska, Wiesław Jażdżyński, Tadeusz Szewera, Henryk Pawlak,** postanowiło nie przyznać pierwszej nagrody. Drugą nagrodę w wysokości 2 tys. zł otrzymali ex aequo: Feliks Rajczak (godło „Lewar") za pracę pt. „Towarzysz Adamski" oraz Władysław Brzeziński (godło „San") za „Wspomnienie komunisty". Trzecią nagrodę w wysokości 1000 zł otrzymał Edward Makowski (godło „Rencista") za pracę pt. „Wycieczka". Dwa równorzędne wyróżnienia po 500 zł otrzymali: Ryszard Binkowski (godło „Wierzba") za „Początek i koniec lata" oraz Hipolit Marian Bogdański (godło „Rymarz") za pracę pt. „Ulotki KPP w koszarach kawalerii".

**ANDRZEJ FELIKS GRABSKI**

*Refleksje o polskim parlamentaryzmie (4)*

# Z woli narodu

**Dzisiejsza nauka historyczna zrywa konsekwentnie z jednoznacznie pesymistyczną oceną demokracji parlamentarnej w Polsce. Nie zamykając oczu na jawne niedostatki systemu, choćby takie jak zbyt częsta zmiana gabinetów, których było u nas od 1918 roku do 1926 aż czternaście, dostrzegamy niezmiernie istotną rolę, jaką demokracja parlamentarna odegrała u nas w procesie integracji narodu w ramach jednolitego, odrodzonego po latach niewoli państwa polskiego. Nie wolno zamykać oczu na oczywisty fakt, że udział robotników i chłopów w wyborach i — choć ograniczony — w reprezentacji sejmowej przyczyniał się walnie do wzrostu świadomości ich związku z własną, polską państwowością.**

Wszystko to nie oznacza jednak, byśmy skłaniali się do idealizacji systemu rządów opartego o burżuazyjną demokrację parlamentarną. Nie tylko dziś, ale i w okresie międzywojennym mówiło się nie bez racji o kryzysie tego systemu, o sprzecznościach, jakie zachodzą pomiędzy pięknym modelem a polityczną i społeczną rzeczywistością. System ten bowiem jest dzieckiem liberalnego, wolnokonkurencyjnego kapitalizmu, a więc kapitalizmu, który już w okresie międzywojennego dwudziestolecia należał do przeszłości. W dobie kapitalizmu monopolistycznego, imperializmu, coraz wyraźniej obnaża on swoje niedostatki. Ekonomiczna supremacja klas posiadających prowadzi nieuchronnie do tego, że to one poczynają dysponować rozbudowywanym coraz bardziej aparatem propagandy, indoktrynacji, one też w konsekwencji stanowią o aparacie wykonawczym. Kapitalistyczne stosunki produkcji sprzyjają powstawaniu rządów elitarnych, kosztem pomniejszania roli parlamentu. „Wolny świat" kapitalistycznego Zachodu przedstawia się w swej społeczno-politycznej rzeczywistości zgoła odmiennie od tego, co głoszą reklamowe wypowiedzi różnych publicystów prasowych i radiowych. Zachodni ideologowie — podkreśla T. Filipiak — przedstawiają kierunek umocnienia władzy wykonawczej kosztem pomniejszania znaczenia instytucji demokratycznych i rozszerzający się coraz bardziej zakres działania burżuazyjnego państwa jako „procesy przemian, odbywające się rzekomo w interesie całego społeczeństwa, przemian, które są zgodne z interesem mas, a przede wszystkim klas i warstw będących w niekorzystnej sytuacji materialnej". Doktryna ta, niezmiernie dziś popularna, wyraża określone klasowe interesy, stanowi uzasadnienie wzrastającej z roku na rok supremacji politycznej kręgów związanych z wielkim kapitałem i zmierza do przesłonięcia istotnych konfliktów klasowych rozwijających się we współczesnych społeczeństwach burżuazyjnych.

Nie tylko więc polska burżuazyjna demokracja parlamentarna zawierała w sobie zaród kryzysu. Słabość władzy wykonawczej nie potrafiła ochronić systemu rządów, ustalonego w Konstytucji marcowej od zamachu stanu w marcu 1926 roku. „System rządów parlamentarnych nie znalazł wówczas — podkreśla historyk tamtych lat — w momencie krytycznym swego istnienia, zdecydowanych obrońców ani wśród stronnictw sejmowych, ani w społeczeństwie, ani w opinii publicznej". Państwowość polska wkroczyła na drogę rządów autorytatywnych, których istotny sens klasowy obnażyły m.in. wizyta J. Piłsudskiego w Nieświeżu w 1926 roku i konferencja W. Sławka z konserwatystami w Dzikowie w roku następnym. **Intencje czynników rządo-**

KAROL BADZIAK

# FILON I LAURA NA ETACIE AZOTÓW

**Dzieje Puław można spiąć klamrą dwóch nazwisk. Z jednej strony utytułowany książę Czartoryski, z drugiej dyplomowany inżynier-chemik tow. dyrektor Kołodziej. Tych dwóch mężczyzn żyjących w zupełnie odmiennych epokach wywarło duży wpływ na rozwój miasta. Bodajże Putrament na zasadzie dość łatwego skojarzenia nazwał kiedyś dyrektora Azotów neomagnatem i oczywiście nie miał racji. Sam fakt, że dyrektor dysponuje miliardami nie wystarcza do takiej nobilitacji. Społeczna fortuna, którą posiada, toczy się trybami inwestycyjnych priorytetów.**

*Fot. St. Papciak*

Decyzja o lokalizacji kombinatu chemicznego w Puławach zapadła 19 grudnia 1960 roku. W lubelskiej gazecie na pierwszej stronie ukazał się patetyczny tytuł: „Ślub chemii z Puławami został zawarty". Kiedy puławianie dowiedzieli się, że w Warszawie ożeniono ich miasto z wielką chemią, część z nich podniosła wielki lament. Był to pierwszy z całej serii skandali jakie miały później kolejno nastąpić. Wprawdzie przeciwników Azotów było bardzo mało lecz krzyczeli bardzo głośno. „My chcemy mieć spokój, ciszę, mikroklimat. Od 150 lat kwitną tutaj nauki rolnicze. Puławy są miastem letniskowym, gwarancją długowieczności, miastem pełnym narodowych pamiątek".

Rzeczywiście, zgadza się, wszystko prócz tego, że m i a s t o to było wielkie słowo. Puławy zawsze były miasteczkiem, oczywiście sympatycznym. W momencie rozpoczęcia budowy kombinatu liczyły sobie 13 tys. mieszkańców. Teraz mają około 40 tysięcy. Czynią starania w Belwederze, żeby stać się miastem wydzielonym. Apetyt wzrasta w miarę jedzenia. Prawdą jest również, że choć były miasteczkiem małoliczebnym, ludzie długo tu żyli. Po dzień dzisiejszy szczycą się Puławy największą w kraju ilością Matuzalemów. Prawdą jest i to, że były i pozostały nadal ważnym ośrodkiem polskich nauk rolniczych. Pod koniec XIX wieku istniała tu przez krótki czas Politechnika Puławska.

Ponad półtora wieku temu Czartoryscy pokłóciwszy się w stolicy z królem, przenieśli się do Puław. Czas przeznaczony dawniej na dworskie intrygi poświęcili na urządzenie swego dworu. Księżna Izabella podobnie jak dziś amerykańscy milionerzy, którzy przewożą z Europy za ocean komplety starych zamczysk łącznie ze strasząсymi w nich duchami, zaczęła zwozić z Aten antyczny gruz i kamienie. Zbudowała Świątynię Sybilli, Domek Gotycki i Pałacyk Marynki. Zapraszała Kniaźnina i Niemcewicza. Sentymentalna była to epoka, kwitła rzewna liryka, poeci podglądali pasterki, pisali wiersze o pastuszkach. Księżna chętnie ich (poetów) u siebie gościła. Założyła również pierwsze muzeum pamiątek narodowych. Chwali się jej takie hobby. Lepsze to było niż wywożenie forsy do Paryża.

Książę Adam zajął się z kolei naukami rolniczymi. W Puławach powstały podwaliny takich nauk jak: kartografia gleb, gleboznawstwo, melioracja, meteorologia rolnicza, mikrobiologia gleb, sadownictwo, hodowla i aklimatyzacja roślin. Żywienie i hodowla zwierząt, zoologia i weterynaria. Puławski JUNG i Instytut Weterynaryjny zdobyły sobie światową sławę i rozgłos. Nie przeszkadzało to jednak wcale temu, że na nie zmeliorowanych polach i łąkach nadwiślańskich błąkało się wychudłe gruźlicze bydło. Z jednej strony całe pokolenie wybitnych naukowców zdobywających tytuły honoris causa największych uczelni świata, a z drugiej zacofane polskie rolnictwo.

Pracownicy „Watykanu" (tak mieszkańcy Puław nazywają JUNG) wieść o budowie Zakładów Azotowych przyjęli z dużą dozą osobistej satysfakcji i zrozumienia. Nie było to wcale takie oczywiste jak nam się może wydawać. Część mieszkańców ślub chemii z miastem potraktowała jak mezalians lub bigamię. Kiedy Puławami zaczął rządzić żywioł wielkiej budowy pierwsze pod ciosami buldożerów padły Działki. Działki to nazwa dzielnicy domków jednorodzinnych z ogródkami. Wybuchł wielki skandal, którego odgłosy dotarły aż na posiedzenie KERMu.

Znajdowałem się akurat wtedy w Puławach. Faktycznie żal było patrzeć jak wieloletni dorobek i wygracowane rękami rencistów i emerytów klomby i trawniki oraz wypielęgnowane krzewy i bielone wapnem sady obracały się pod uderzeniami demiurgów postępu technicznego w martwe pobojowisko. Trzeba najpierw stary świat zgładzić, żeby zbudować na nim nowy, lepszy — głosili inżynierowie z Chemobudowy.

Niemniej twierdzenie inżynierów z Chemobudowy o nowym, lepszym świecie na tle tego co się zaczęło dziać w Puławach brzmiało po prostu cynicznie. Równolegle z rozpędem robót budowlanych w mieście poczęły się mnożyć bójki, napady, rabunki. Ludność była oburzona, miasto kipiało gniewem i złością. Tymczasem bandyckie napady i to z bronią w ręku wcale nie ustawały. Milicja była bezsilna. Bandyci wykazywali niebywały spryt i brawurę. Miasto najzwyczajniej w świecie zostało sterroryzowane. Szerzyły się konflikty, krążyły wśród mieszkańców fantastyczne plotki na temat przybyszów.

Aż wreszcie bomba pękła. Milicja natrafiła na ślad 6-osobowego gangu. W krótkim czasie banda ta dokonała 72 napadów rabunkowych. Co się okazało? A no właśnie. Okazało się, że wcale nie byli to pracownicy budowy lecz synalkowie z dobrych, przyzwoitych, zacnych i „porządnych" puławskich domów. Rabowali i napadali na cudze konto. Na konto budowniczych Azotów.

Odbył się w Puławach pokazowy proces, który przerodził się w proces przeciwko miastu. Głupio i nieswojo zrobiło się tutejszym mieszkańcom. Taki wstyd. Prysnęło zadufanie, zaściankowość i nieufność do przybyszów. Puławiacy stali się skromniejsi i życzliwsi.

Zaczęto w mieście stawiać nowe domy. Ale tu znów nowe mieszkania dla nowych mieszkańców. Z miejscowych nowe mieszkanie pierwszy otrzyma kierowca dyrektora kombinatu. Przybysze szybko się zadomowili Zaczęli ściągać ze Śląska żony, dzieci, bety i piernaty.

Dyrektor kombinatu pochodzi również ze Śląska i stąd właśnie owa inwazja jego krajan do Puław. Raczej jednak nie z powodu sentymentów lecz z powodu kwalifikacji.

Stała się rzecz dziwna i jedyna w swoim rodzaju. Przybysze bardziej poczuli się puławiakami, niż starzy puławiacy puławiakami nowych Puław. Pod ich wpływem zmieniła się nie tylko architektura miasta, zmienił się także pejzaż obyczajowy. Minął początkowy strach przed „tą trucizną". „Trucizna" to amoniak, z którego produkuje się mocznik i saletrę. Mocznik to dodatek do pasz dla zwierząt. W postaci krystalicznej służy do wyrobu tworzyw sztucznych. W sumie nie jest to wszystko znów takie szkodliwe dla zdrowia jak się początkowo obawiano. Mała dawka amoniaku orzeźwia i otrzeźwia, duża rzeczywiście może spowodować spustoszenie organizmu. Zakład jest jednak nowoczesny, procesy produkcyjne zautomatyzowane. Najbardziej cierpi biedna Wisła, która z królowej polskich rzek coraz bardziej przemienia się w królową polskich ścieków. Cierpi też iglasty las obok zakładów. Trzeba go będzie wymienić na liściasty. Drzewa liściaste są odporniejsze na działanie azotu. A ludzie? Przeprowadzono plebiscyt. I wtedy wyszło na jaw, że takich co się boją szkód, które z sobą niosą Azoty jest w całym mieście zaledwie 2 proc., 91 proc. stwierdziło, że pragnie w Puławach nadal mieszkać. Tylko 7 proc. chętnie by się stąd wyniosło oczywiście najlepiej w kierunku Warszawy czy Lublina. Chyba się nie omylę, jeśli powiem, że wśród tych 7 proc. było sporo pensjonarek. Pensjonarkom wszędzie nudno. Dopóki za mąż nie wyjdą.

Zakłady Azotowe są tego typu inwestycją, która w sposób bezpośredni wpływa na rozwój rolnictwa. Tu w Puławach nadarza się okazja, jak nigdy, aby dokonać wyboru. Czy bliższe są nam mazowieckie, poranną mgłą zasnute zielone pola, gęsiarki i pasterze, tysiącletnich drzew aleje w parku i figlujący pośród głogów i jarzębin Filon z Laurą? Czy Polska B czy Polska A? Czy wierzby płaczące, czy amoniak łzy wyciskający z oczu?

Ha, trudno. Filon jeździ dziś wywrotką, Laura sprzedaje piwo w kiosku.

---

**wych w stosunku do instytucji parlamentarnych zobrazował otwarcie J. Piłsudski w sławnym wywiadzie z 1 lipca 1928 roku, w którym pierwszy polski Sejm nazwał „s e j m e m l a d a c z n i c". Podnosiły się coraz silniejsze głosy domagające się ustanowienia u nas „cezaryzmu", a nawet monarchii. Prawica domagała się, aby Sejm pozbawić prawa kontrolowania rządu, aby Senat przynajmniej w części, jeśli nie całkowicie był nominowany przez prezydenta itd. W 1930 roku nadszedł Brześć, kraj ogarnęła fala procesów politycznych. Nowy system rządów ugruntowała uchwalona wbrew obowiązującemu prawu przez sanacyjną większość sejmową Konstytucja z 23 kwietnia 1935 roku, utrwalająca system rządów silnej ręki, dająca ogromne prerogatywy władzy prezydentowi, odpowiedzialnemu jedynie przed „Bogiem i historią". Konstytucję tę określa się często mianem „faszystowskiej", a do niedawna często mówiło się nawet o panowaniu faszyzmu w Polsce w latach trzydziestych naszego stulecia.**

**Można podnieść istotne zastrzeżenia co do słuszności takich generalizacji. Nie ulega wprawdzie wątpliwości, że wśród sanacyjnych kół rządzących byli ludzie, którzy życzliwie spoglądali na przemiany dokonujące się w Niemczech po przewrocie hitlerowskim, że niektóre skrajne ugrupowania polityczne świadomie nawiązywały do hitlerowskich wzorów. Ale mówić o Polsce w latach trzydziestych jako o kraju faszystowskim czy rządzonym przez faszystów — to już g r u b a p r z e s a d a. Twierdzenie to jest — jak to coraz wyraźniej widzimy — n i e z g o d n e z rzeczywistym kształtem ówczesnej skomplikowanej, nabrzmiałej konfliktami, polskiej rzeczywistości społeczno-politycznej. Co więcej — jest ono nie tylko fałszywe, lecz także — w mym głębokim przekonaniu — w dzisiejszych warunkach niezmiernie s z k o d l i w e p o l i t y c z n i e. W państwach zachodnich nie brak wciąż głosów zmierzających do rehabilitacji hitlerowskich Niemiec; co gorsza, głosy te są dziś silniejsze, niż były wczoraj. Zmierzają one między innymi do wykazania, że faszyzm był jakąś nieuchronną prawidłowością rozwoju społeczno-politycznego, że nie był żadną specyficzną właściwością ani Włoch, ani tym bardziej Niemiec. Opowiadano mi niedawno treść rozmowy, jaką odbył jeden z polskich uczonych z jakimś niemieckim profesorem podczas swego pobytu na Zachodzie. „Dlaczego wy wciąż się tak na nas oburzacie? — indagował Niemiec. — Przecież i u was panował faszyzm, sami się do tego przyznajecie!" Tak tedy nasze mówienie o polskim faszyzmie może być wykorzystane dla wybielania faszyzmu hitlerowskiego...**

**Sprawy to drastyczne, nieraz bolesne, w wielu punktach jeszcze niewyjaśnione. „Oceniamy dziś surowo rządców II Rzeczypospolitej — mówił w 1966 roku Władysław Gomułka — za ich krótkowzroczność polityczną, za ich politykę zagraniczną i wewnętrzną, za ich egoizm klasowy. Ale ta surowa ocena nie oznacza, iż nie doceniamy tych pozytywnych elementów, które w dzieje naszego narodu wniosło samo istnienie państwa polskiego w latach 1918—1939. Dzięki temu bowiem naród polski odzyskał wiarę we własne siły, upadły dzielące go bariery zaborowe, a dawne podziały dzielnicowe zostały zatarte, powstało wprawdzie elitarne i niedostatecznie rozbudowane, ale polskie szkolnictwo wszystkich szczebli, wzrósł zasięg oddziaływania polskiej kultury na społeczeństwo. I przede wszystkim poważnie rozszerzył się zakres wzajemnego przenikania się świadomości narodowej i państwowej. Gdy w przededniu pierwszej wojny światowej dyskutowano jeszcze, czy w ogóle może istnieć niepodległe państwo polskie, to w latach drugiej wojny światowej ta kwestia nie podlegała już wśród Polaków żadnej dyskusji, toczyła się jedynie walka o to, jaka ma być społeczna treść niepodległej Polski. 20-lecie walk społecznych i politycznych w II Rzeczypospolitej odegrało doniosłą rolę w dojrzewaniu polskiej klasy robotniczej i ludu pracującego do przejęcia odpowiedzialności za losy narodu i państwa polskiego".**

**„I dziś po fali rewolucyjnej roku 1918, jaka ogarnęła całą Europę, po ruchu naprzód, przyszedł ruch w tył, przyszedł okres „odgrywania się" reakcji. Oczywiście, nie jest on przyjemny dla współcześnie żyjących klas wyzyskiwanych. Ale ten ruch wsteczny nie jest, bo nie może być, trwały. Reakcja panować, triumfować będzie tylko... do następnej rewolucji. Dialektyka dziejów uczy nas, że po ruchu w tył przychodzi zawsze ruch naprzód. A rzeczą już prowadzących walkę będzie utrwalanie jego zdobyczy". Tak pisał w 1934 roku Stanisław Dubois. Trudno nie dostrzec trafności jego prognozy. Rewolucja socjalistyczna, jaka się dokonała w naszym kraju rozwiązała podstawowe konflikty społeczne i polityczne, te, z którymi nie mogła sobie poradzić Polska burżuazyjna.**

**Sięgnijmy do dokumentów z okresu kształtowania się Władzy Ludowej. Rok 1944: w lipcowym Manifeście Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego czytamy, że zarówno Krajowa Rada Narodowa, jak PKWN działają „na podstawie Konstytucji z 17 marca 1921 roku, jedynie obowiązującej konstytucji legalnej, uchwalonej prawnie. Podstawowe założenia Konstytucji z 17 marca 1921 roku obowiązywać będą aż do zwołania wybranego w głosowaniu bezpośrednim, równym, tajnym i stosunkowym Sejmu Ustawodawczego, który uchwali jako wyraziciel narodu nową konstytucję". Te podstawowe założenia konstytucji marcowej, uzupełnione w 1947 roku postanowieniami t.zw. Małej Konstytucji, obowiązywały w naszym kraju do 1952 roku, to jest do czasu uchwalenia przez Sejm Ustawodawczy dnia 22 lipca 1952 roku Konstytucji Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. W ten sposób znalazła swe podkreślenie owa ciągłość państwowego bytu niepodległej Polski, w Polsce socjalistycznej jako dziedzicu całej postępowej spuścizny naszych dziejów. „Po raz pierwszy w dziejach naszego narodu powstało państwo ludu pracującego, państwo całego narodu, a nie jego uprzywilejowanej większości. To demokratyczne państwo szanujące prawa obywatela i otaczające troską sprawy ogółu, wolne od samowoli i anarchii, bazujące na świadomej dyscyplinie społecznej, to państwo które budujemy pomyślnie od 22 lat — mówił w 1966 roku z trybuny sejmowej Władysław Gomułka — jest podstawą wszystkich osiągnięć narodu polskiego i rękojmią jego rozwoju na przyszłość". Treścią naszej socjalistycznej demokracji są „rządy ludu sprawowane przez sam lud". Obywatele Polski Ludowej mają zagwarantowaną możność wybierania swoich przedstawicieli nie tylko do organów władzy ustawodawczej, lecz także do rzeczywistego kierowania społeczno-politycznym życiem, „brania w nim czynnego udziału oraz przezwyciężania trudności i konfliktów, które stają na drodze ich realizacji". W tych tylko warunkach może rozwijać się demokracja — podkreśla znany publicysta — dotycząca nie tylko zwykłego szarego obywatela, lecz także i tych, którzy sprawują władzę w socjalistycznym społeczeństwie. „Dlatego m.in. socjalistyczny parlament, nie będąc miejscem walk międzypartyjnych w burżuazyjnym sensie, jest parlamentem pracującym, uchwalającym ustawy i kontrolującym ich wykonanie"**

Dalszy ciąg ze str. 1

— Alkohol!, alkohol, to wróg, który pana chciał zniszczyć, zniszczyć wszystko co pan miał najdroższego — szczęście rodzinne, powodzenie, sukcesy w pracy. Alkohol, wódka, piwo, wino — pan nawet nie chce tego słuchać, a co dopiero gdyby pan miał wąchać. Pan się brzydzi, pan ucieka przed tym zapachem...

Nie przerywając monologu prof. Szulcowa nalewa odrobinę alkoholu do kieliszka i zbliża do twarzy pacjenta. Ten odwraca głowę w odruchu protestu, ciałem wstrząsa dreszcz. Teraz kieliszek znajduje się przy ustach pacjenta. Monolog trwa:

— ...pan się brzydzi, pan nie może nawet wąchać, pan nie wejdzie do lokalu, w którym czuć alkohol, a co dopiero byłoby gdyby pan się miał napić — głos jest coraz dobitniejszy, krople alkoholu spadają na wargi pacjenta. Głowa mężczyzny rzuca się z boku na bok w ucieczce przed spadającymi kroplami wódki, ręka sięga do kieszeni po chustkę, człowiek wyciera usta, twarz blednie, na czoło występują krople potu — ...pan cierpi to jest niemożliwe, żeby pan przyjął kiedykolwiek alkohol, proszę zobaczyć jak pan reaguje, pan wypluwa, nigdy się nie zdarzy, żeby pan mógł wypić alkohol i taki jest mój rozkaz, ten rozkaz będzie trwał, proszę powiedzieć czego pan nie będzie robić?

— Nie będę pił alkoholu, wódki, piwa, wina...

— No, spada panu kamień z serca, czuje się pan bardzo dobrze, wspaniale, policzę do trzech i pan się obudzi, raz, dwa, trzy.

Przebudzenie jest błyskawiczne, żadnych śladów snu, samopoczucie pacjenta doskonałe. Następna wizyta jutro. W trakcie seansów utrwali się w ciągu 14 dni wstręt do alkoholu uzyskany na zasadzie odruchu warunkowego. Potem pacjent otrzymuje płytę z nagranym na niej seansem hipnotycznym i w domowych warunkach poddaje się zabiegowi ubezpieczającemu i utrwalającemu dyspozycje zasugerowane w trakcie leczenia, uzyskując przy tym dobre samopoczucie.

Jeszcze jeden mężczyzna i wielu następnych. Leczą chorobę alkoholową. W ciągu swej praktyki terapeutycznej wobec alkoholików profesor Szulcowa wyleczyła około 240 pacjentów, (130 następnych jest w leczeniu). Niestety, około, bo kilku z nich wróciło do nałogu na skutek presji środowiska. Reszta nie. Tradycyjne chociaż nowoczesne lecznictwo odwykowe posługujące się głównie środkami farmakologicznymi nie ma takich wyników — ani w trybie przymusu w poradniach ani w zakładach zamkniętych.

* * *

Przenieśmy się na chwilę do miasta X. Tu mieszka jeden z pacjentów prof. Szulcowej, młody inżynier, żonaty, ojciec 8-letniego syna. W momentach trudności życiowych popadał w stany zdenerwowania, załamania, depresji, apatii. Sięgnął po alkohol sprawdzając skutecznie porzekadło o zalewaniu robaka. Zalewanie zaczęło przeradzać się w nałóg, a konsekwencje nie dały długo na siebie czekać. Wreszcie przyjaciel zaproponował wyjście z tragicznego impasu i przerwanie alkoholowych ciągów (inżynier pił przez szereg dni bez przerwy) leczeniem hipnotycznym u prof. Szulcowej. Pan Z. opowiada:

— Po pierwszym transie, mimo zasugerowania mi dobrego samopoczucia, byłem kompletnie rozbity. Piorunujące wrażenie wywarła na mnie sugestia kobiety, która potrafiła od razu obrzydzić mi alkohol. Pod wpływem dotyku i słów: „pana ręka cuchnie alkoholem" poczułem, że dłoń mam mokrą, a emanuje z niej odór wódki. Po wyjściu z gabinetu miałem skurcz gardła, który wzmagał się kiedy przechodziłem obok barów i restauracji. Bałem się, że przy goleniu nie będę mógł wytrzeć twarzy wodą kolońską czy spirytusem salicylowym. Nic takiego się nie stało. Tylko wszelkie trunki alkoholowe wywołują wstręt. Nie mogę znosić zapachu wódki, piwa lub wina.

Nie trzeba chyba nikogo przekonywać, że ta metoda leczenia alkoholizmu ma przyszłość. Dwa lata temu docent z Wiednia H. Wallnofer po zapoznaniu się z metodą prof. Szulcowej i wynikami wprowadził ją do swojego wydawnictwa o hipnozie pt. „Człowiek bez strachu". W warunkach warszawskiego ośrodka leczenie alkoholików nie może być masowe. W Zakładzie Biochemii AWF prof. Szulcowa prowadziła leczenie hipnotyczne w ramach pracy naukowej pt. „Wpływ biochemiczny alkoholu na organizm człowieka". Lecz — jak sama mówi — w uczelni tej z niechęcią patrzono na tego rodzaju pracę.

Niektórzy lekarze uważają, że metoda budzenia wstrętu do alkoholu jest niehumanitarna (przepraszam, a terapia anticolem jest humanitarna?) i są oni zwolennikami wyrabiania obojętności. Prof. Szulcowa stosowała i to, ale pacjenci nie byli zadowoleni z wyników i wręcz prosili o wyrobienie odruchów wstrętu.

Wydaje się, że ta metoda może być stosowana w szerokiej skali nawet w warunkach ambulatoryjnych drogą doboru grup pacjentów. Trzeba jednak te warunki stworzyć i w tym kierunku powinien chyba podjąć inicjatywę Społeczny Komitet Przeciwalkoholowy.

## Operacja bez bólu i krwi

Wielu czytelników oglądało zapewne grudniową audycję „Eureki" w której przekazano pierwszy w Warszawie zabieg operacyjny wykonany przez dr Kobosa przy znieczuleniu hipnotycznym zastosowanym przez prof. Szulcową. Na bezpośrednich świadkach operacji wywarło to silne wrażenie. Nie przywykliśmy do tego, żeby pacjentów „kroić" we śnie, a na dodatek wydawać im dyspozycje wstrzymania upływu krwi z operacyjnej rany.

Właśnie jeden z operowanych, któremu dr Kobos drogą przeszczepu usunął łysinę wszedł teraz do gabinetu. Podobnie jak zabieg tak i okres gojenia przyjmującego się przeszczepu pacjent przechodzi w hipnozie. To oszczędza bólu i przyśpiesza gojenie. Na tym pacjencie prof. Szulcowa poleciła mi sprawdzić skuteczność znieczulenia hipnotycznego.

Pacjent otrzymał dyspozycje, które wkroczyły w sferę bodźców czuciowych, aczkolwiek były to tylko zwykłe słowa oznajmiające, że jego ręka zesztywnieje i będzie nieczuła na ból. Mnie profesor Szulcowa poleciła przytknąć rozżarzony papieros do przedramienia śpiącego. Miałam wrażenie, że sama czuję ból i patrzyłam z niepokojem kiedy oparzona skóra uniesie się czerwonym bąblem. Pacjent nie drgnął. Na skórze pojawił się w miejscu rzekomego oparzenia ledwie widoczny blady ślad. Zapytany po obudzeniu o wrażenie pacjent odpowiedział, że czuł tylko dotyk. W czasie operacji chirurg poprosił hipnotyzera o wydanie zakazu krwawienia. Ten zakaz poparty słowami: „ja tak chcę i pan tak chce" spowodował natychmiastowe zatrzymanie upływu krwi.

— Nasza podświadomość — mówi prof. Szulcowa może regulować także ciśnienie krwi. Odbywa się to za pośrednictwem jednego z kwasów — RNA — regulatora ciśnienia. Nie u wszystkich można jednak wyłączyć bodziec czuciowy.

## Z piekła narkomanii

Jeden z pacjentów zrobił na mnie szczególne wrażenie: lekarz cierpiący na narkomanię. W czasie transu, w który zapada dłużej niż inni pacjenci trwa dialog pomiędzy nim i hipnotyzerem:

— Czuje pan przypływ nowych sił, słucha pan tego co ja mówię i stosuje się pan do tego. Będzie się pan czuł coraz lepiej i cieszył się z każdego dnia. A teraz wymienię narkotyki, których pan używał, pan będzie spać bez tych środków — glimid, fanodorm...

— Właśnie nie mogę po nim spać...

— ...prof. Szulcowa wymienia nazwy wielu jeszcze specyfików, które używał pacjent — ...i pan mi na następną wizytę przyniesie spis wszystkich innych środków, które pan jeszcze używał i używa...

— To jest cała farmacja...

— Wypisze pan całą farmację, pan się wszystkimi środkami brzydzi.

— ...może jeszcze trochę...

...Nie, pan ich nie będzie używał, pan się brzydzi podobnie jak i alkoholu...

— Jak widzę, to mnie ogarnia gęsia skóra i chce mi się wymiotować.

... — nie będzie pan pić, będzie pan wartościowym człowiekiem, przecież pan jest lekarzem, na pana pomoc czekają cierpiący ludzie, pan musi pogłębiać swą wiedzę...

— Męczy mnie czytanie fachowej literatury.

— ...czuje pan przypływ nowych sił, energii, chęci do pracy.

Po obudzeniu rozmawiam z pacjentem, który po kilku seansach czuje się znacznie lepiej. Mówi: znikają objawy głodu narkotycznego, odzyskuję pewność siebie i sprawność fizyczną, a było bardzo źle. Proszę popatrzeć — ja nie mam żył, zniszczyłem wszystkie tysiącami wkłuć przy wstrzykiwaniu sobie narkotyków. Potem przeszedłem na używanie doustne. Jadłem kilogramami, im więcej zjadałem, tym więcej potrzebowałem. Snułem się półprzytomny, zacząłem tracić wzrok. Leczenie w różnych zakładach pomagało tylko doraźnie, nie wytworzyło odporności psychicznej, nie wywoływało obrzydzenia, które jest chyba głównym hamulcem. Zdaje mi się, że wydobywam się z jakiejś topieli na powierzchnię. Zaczynam wierzyć w pełne wyleczenie.

## Nadzieje i opory

Nie tylko alkoholizm i narkomania mogą być leczone w hipnozie. Około 10 lat temu łódzki psychiatra demonstrował na zjeździe naukowym trans hipnotyczny w zastosowaniu do pacjentki cierpiącej na silną psychonerwicę. Leczenie nerwic tą metodą daje dobre efekty i jest praktykowane w psychiatrii, (także łódzkiej).

Wyeliminowanie bólu drogą hipnozy ma kolosalne znaczenie dla leczenia chirurgicznego tych pacjentów, którzy z różnych względów nie mogą być poddawani znieczulaniu klasycznymi metodami. (Jeden z francuskich chirurgów przeprowadził już około 300 poważnych operacji m. in. resekcje żołądka i pęcherzyka żółciowego pod znieczuleniem hipnotycznym). Połączenie medycyny z hipnozą jest coraz powszechniej stosowane nie tylko we Francji lecz także w Anglii (Elżbieta II ostatni poród przeszła w śnie hipnotycznym), w Stanach Zjednoczonych, NRD i NRF. Wiedza hipnotyczna ugruntowała się przede wszystkim w Związku Radzieckim (z hipnologii uzyskuje się doktoraty). Tu też istnieje kilka oddziałów lecznictwa hipnotycznego. Radzieccy praktycy stosują tę metodę nawet w leczeniu dychawicy oskrzelowej i schorzeń alergicznych łącznie ze skórnymi. Hipnozą można znosić różnego rodzaju bóle, a przede wszystkim tzw. fantomowe — po amputacjach kończyn. Dr Z. Peterson — radiolog ze szpitala im. Pirogowa — zwolennik praktyki hipnotycznej dla celów leczniczych wyleczył pacjenta, który przez 9 lat cierpiał na bóle poamputacyjne, bezskutecznie leczone środkami antybólowymi i uspokajającymi. Dwa zabiegi operacyjne przeprowadzili chirurdzy także przy współpracy dr Petersona, który zastosował hipnotyczne znieczulenie. W Łodzi także przeprowadzono poważną operację mózgu przy zastosowaniu znieczulenia przez hipnotyzera-psychiatrę.

Psychiatria i psychologia w połączeniu z hipnozą mogą mieć ogromne i powszechne zastosowanie nie tylko w celach leczniczych lecz i zapobiegawczych. Usuwanie przemęczenia psychicznego (de Gaulle ma w tym celu „własnego" hipnotyzera), a nawet korygowanie charakteru zapowiada pewnego rodzaju rewolucję w metodach wychowawczych w stosunku do młodzieży w wieku określanym „okresem trudności rozwojowych". Prof. Szulcowa przy pomocy hipnozy przywróciła jednemu z młodych pacjentów nie tylko chęć do nauki i sympatię do szkoły, ale spowodowała także obudzenie się ambicji i chęć uzyskiwania sukcesów. Podobny przypadek ma w swej praktyce dr Peterson.

Sądownictwo amerykańskie wiąże wielkie nadzieje z eksperymentami zmiany charakteru poprzez działanie hipnozą.

W Polsce badania dotyczące hipnozy prowadzi m. in. prof. dr S. Manczarski dyrektor Zakładu Geofizyki PAN. Jest on konstruktorem skomplikowanego aparatu elektronicznego, służącego do quasi-hipnozy (ma on zastosowanie w medycynie przy usuwaniu takich bólów jak np. reumatyczne). Hipnoza „mechaniczna" to już zjawisko zupełnie pozbawione tajemniczości, oparte o naukowe podłoże matematyczne i fizyczne. Z tego właśnie punktu — naukowego — należy w naszym kraju traktować hipnozę i tworzyć warunki do nadania hipnologii rangi wiedzy empirycznej, skończyć z mitem szarlatańswa, z podrywaniem autorytetu „nie medyków" i zespolić wysiłki w celu włączenia doświadczeń polskich w międzynarodowe badania i terapeutyczną praktykę oraz podjąć inicjatywę natury szkoleniowej.

ZOFIA TARNOWSKA

# Portret wieku DOJRZAŁEGO

Dalszy ciąg ze str. 1

odlewni. W roku pięćdziesiątym pierwszym, na skutek odgórnych rozporządzeń, nasza odlewnia, wraz z większością pracowników, została „oddelegowana" do tworzącej się Fabryki Samochodów Osobowych na Żeraniu.

Najpierw budowano elementarne urządzenia techniczne.

Potem formowano załogę.

Rozpoczęła się wielka migracja, jedna z owych powojennych wędrówek w poszukiwaniu pracy. Ta olbrzymia, a jednocześnie najbardziej śmiała, na ogół młoda i zachłanna kulturowo rzesza ludzka, oprócz intencji, entuzjazmu, chęci zarobku, wyuczenia się, zdobycia zawodu i pozycji społecznej, nierzadko poszukująca romantyzmu wielkiej budowy — były to bowiem lata szczególne — niczego więcej nie mogła Fabryce ofiarować.

— Zostałem od razu majstrem — mówi Buchwald. — Lałem tłoczniki do samochodów, maski i błotniki. Ale moje bojowe i najtrudniejsze zadanie, polegało na wykonaniu modelu kadłuba silnika. Pracowałem nad tym ze swoimi ludźmi przez trzy miesiące, dniami i nocami. Wreszcie jednak przedstawiłem komisji kilka udanych projektów, z których jeden otrzymał akceptację. Kiedy więc szóstego listopada 1951 roku zjechał z taśmy montażowej pierwszy polski samochód, zbudowany według dokumentacji i opracowań konstrukcyjnych radzieckiej „Pobiedy" — było w tym trochę i mojej zasługi.

4.

Osiemnastoletnią historię żerańskiej fabryki wyznaczają poszczególne etapy rozwoju motoryzacji.

Była więc, najpierw, w pięćdziesiątym pierwszym roku „Warszawa" M-20, zbudowana na licencji „Pobiedy".

W 1959 roku uruchomiona została produkcja nowych, całkowicie już „polskich" samochodów „Syrena". Typ ten przeszedł szereg przeobrażeń od modelu 101 do produkowanego obecnie modelu 103.

Na początku lat sześćdziesiątych FSO produkowała również elementy samochodów „Nysa" i „Żuk".

We wrześniu 1964 roku zszedł z taśmy montażowej nowy, znacznie ulepszony model „Warszawy", którego poszczególne wersje, poza wozami osobowymi, stanowiły taksówki, sanitarki, pick-upy i combi.

Wreszcie w 1968 roku pojawił się na licencji włoskiej „Polski Fiat" 125-P.

Znaczną część samochodów produkowało się na eksport, między innymi do Rumunii, Czechosłowacji, Bułgarii, Węgier, Turcji i Chin, gdzie cieszyły się podobno dużym powodzeniem.

A co sądzą o żerańskich samochodach Polacy?

— Bomba! — powiedział siwy dziadunio, emerytowany taksówkarz, z którym zetknął mnie los w zaułku Szmulowizny; dłubał coś w silniku starej, niebywale odrapanej „Warszawy", liczącej podobno „równiutkie osiemnaście lat".

— I chodzi to jeszcze? — spytałem.

— No, masz! Daj pan tylko na benzynę i jadziem!

— Dno! — powiedział właściciel „Polskiego Fiata", znany dyrygent H. Debich. — Ja nie mówię, że on jest brzydki, albo niewygodny, ale jak mam go dwa miesiące, to już cztery razy był u naprawy i wciąż jeszcze coś zgrzyta w silniku...

W pierwszomajowym numerze „Faktów" — tygodniku załogi FSO — też znalazłem kilka interesujących wypowiedzi. Otóż na przykład Irenie Kwiatkowskiej bardzo się podoba linia „Polskiego Fiata", Szymon Kobyliński twierdzi, że najwygodniejszym, najcieplejszym i najwytrzymalszym wozem na świecie jest „Warszawa", Wiech powiada, że namyślał się, co kupić: Warszawę, Fiata czy Syrenę i wybrał w końcu SHL — pralkę, natomiast Irena Dziedzic, z właściwą sobie inteligencją, mówi, że nie ma do produktów FSO żadnego stosunku, gdyż nie dane jej było empirycznie sprawdzić ich jakość.

Najwięcej pochwał pod adresem polskich samochodów słyszałem z ust pracowników

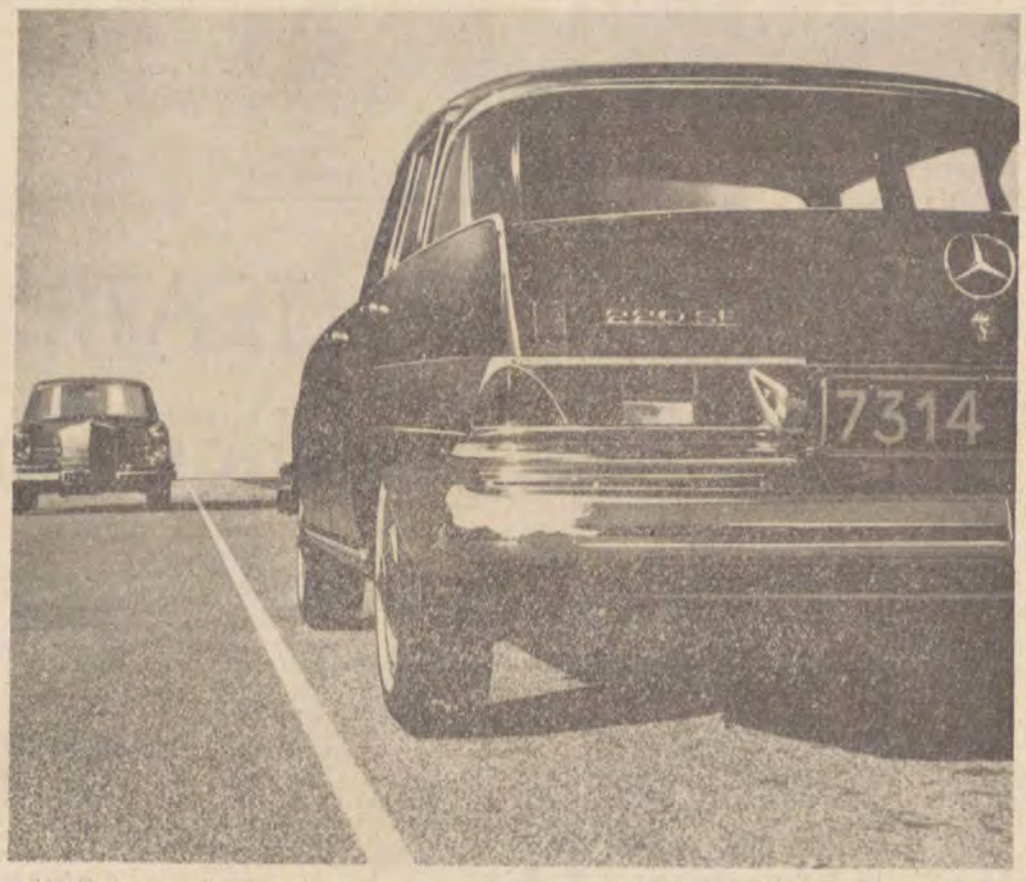


Żerania. Wśród blisko czternastotysięcznej załogi FSO jest, według nieoficjalnych statystyk, około pięciuset posiadaczy aut. Na liczbę tę składa się także dwadzieścia pięć „Polskich Fiatów", z których jeden należy do syna Buchwalda, Bogumiła, znakomitego mechanika i racjonalizatora.

— Najpierw mieliśmy „Syrenkę" — mówi Bogumił Buchwald — później ojciec postarał się o przydział i kupiliśmy „Fiata". Tak jest kiedyś „Syrenka" — teraz „Fiat" sprawuje się znakomicie. No, ale ja wiem jak do niego podejść... Szmer silnika, to cała symfonia. Składa się na niego sto różnych dźwięków. I kto tej pięknej muzyki nie rozumie, ten jest wrogiem własnego pojazdu.

Mnóstwo jeszcze plotek i opinii można by na temat żerańskich samochodów przytoczyć. Nie jest rzeczą reportera rozsądzać, jak dalece przystają one do prawdy. Fakt natomiast, że osiemnastoletnia historia Fabryki na Żeraniu posiada, oprócz niewątpliwie doniosłych dat ukazywania się poszczególnych typów samochodów, wiele innych, patetycznych i dramatycznych kart, o których ludzie zza Warszawy, powiedzmy: zza Żerania, mają mgliste pojęcie albo też dawno zdążyli zapomnieć.

5.

Tworzenie się socjalistycznej załogi nie przebiegało bez zakłóceń. Jak chyba na żadnej wielkiej budowie — ludzie z trudnością przystosowywali się do nowego środowiska. Ci, którzy przyjeżdżali do pracy z podwarszawskich okolic, wciąż czuli się związani ze wsią. Wyodrębniła się zatem grupa tak zwanych chłopo-robotników, licząca, dla przykładu, jeszcze w 1964 roku około pięćdziesiąt pięć procent załogi. Zdecydowaną większość w tej grupie stanowili — i stanowią, gdyż także dzisiaj blisko cztery i pół tysiąca osób dojeżdża spod Warszawy — ludzie bez tradycji zawodu robotnika wielkoprzemysłowego, szukający dopiero zawodu, posiadający najczęściej niepełne wykształcenie podstawowe. Niełatwo było wyrobić u nich poczucie solidarności zawodowej czy fabrycznego patriotyzmu. Zainteresowani głównie doraźnym zarobkiem, czemu nie należy się specjalnie dziwić, najmowali się w sezonie letnim do żniw i podorywek — powodując tym samym znaczną fluktuację kadry. W ciągu pierwszych dwunastu lat istnienia żerańską fabrykę opuściło przeszło dwadzieścia dwa tysiące ludzi, przy globalnym zatrudnieniu dziewięciu tysięcy osób. Teraz w fabryce pracuje blisko czternaście tysięcy osób i chociaż mówi się już o poważnej stabilizacji stałym, scementowanym, solidarnym trzonie załogi — w minionym roku opuściło Żerań ponad dwa tysiące pracowników).

To, że obecnie zmniejsza się fluktuacja kadr, zawdzięczać należy nieprzerwanej trosce władz partyjnych i administracyjnych o stworzenie załodze warunków umożliwiających stałe podnoszenie kwalifikacji, uzupełnienia w ramach pracy wykształcenia zawodowego i ogólnego. Droga awansu stoi przed ludźmi otworem.

Wielu ambitnych robotników weszło na tę drogę — mówi E. Pietrzak, I sekretarz Komitetu Zakładowego PZPR. — Prawie jedna trzecia załogi ukończyła różnego rodzaju kursy, szkoły zawodowe, technika, osiągając dzięki temu nie tylko wyższe stanowiska i zarobki, ale również wyższego typu świadomość społeczną, polityczną i produkcyjną.

Najlepszą ilustracją tych słów jest życie samego E. Pietrzaka. Jakkolwiek pochodzi z ziemi sochaczewskiej (syn rodziny o bogatych tradycjach rewolucyjnych i partyzanckich) pierwsze znojne lata odbudowy kraju spędził na Śląsku, gdzie chodził do szkoły zawodowej, pracując jednocześnie w Hucie „Bierut". Do Warszawy wrócił w 1953 roku i jako pomocnik ślusarza w Wydziale Konstrukcyjno-Budowlanym współdziałał w budowie zaplecza technicznego FSO. Przeszedł następnie na wydział silnika „Warszawy". Pracował na obrabiarkach, zdobywając z wolna doświadczenie. Po dwóch latach był już brygadzistą (ustawiaczem obrabiarek) i otrzymał piątą, też jeszcze niewysoką grupę zaszeregowania. Praca brygadzisty pozwoliła mu wniknąć w psychikę robotników. „Dusza ludzka, to czuły instrument — mówi. — Dobrze musiałem się nabiedzić, aby zgrać ten, podległy mi kolektyw parunastu robotników. Jeden wymagał ciepłego słowa, drugi dopingu, z trzecim trzeba było ostro, zdecydowanie, czwarty chciał, abym mu to i owo pokazał własnymi rękami, więc te ręce musiały być silne i czujne... żeby utrzymać autorytet wciąż się dokształcałem, uczęszczając na wieczorowe kursy do Szkoły Mistrzów podległej Ministerstwu Przemysłu Ciężkiego, która dawała wszystkie uprawnienia, poza prawem do studiów. Osiągnąłem też w międzyczasie dziewiątą, najwyższą kategorię zaszeregowania. Zostałem majstrem. Sukces. A przecież z miejsca postawiłem sobie wyższe wymagania. Byłem już żonaty, miałem dwoje dzieci, lecz zdecydowałem się podjąć naukę na czwartym, ostatnim roku Technikum Mechanicznego. Dyplom. I stołek nadmajstra. Po drodze także Srebrny Krzyż Zasługi. Bez wahania skorzystałem z możliwości studiów w WSI. Będąc na drugim roku, zostałem kierownikiem Oddziału Produkcji Bloków Silnikowych i było to dla mnie wielkie wyróżnienie — nie ze względu na stanowisko, a dlatego, że był to wyjątkowo trudny, odpowiedzialny odcinek pracy. Tu powstawał główny trzon silnika: Podjęliśmy ryzyko zwiększenia planu produkcyjnego o dwadzieścia procent, aby później na cały miesiąc oddać sfatygowany, rozstrojony park maszynowy w ręce mechaników. Dużo nas to kosztowało nerwów i zdrowia, i choć akcja zakończyła się powodzeniem, zawaliłem przecież drugi, niełatwy rok studiów, które jednak z uporem kontynuowałem zdobywając wreszcie dyplom inżyniera-mechanika".

W tych trudnych, pełnych wyrzeczeń latach E. Pietrzak znalazł także czas na sprawowanie odpowiedzialnych funkcji politycznych. Najpierw był przewodniczącym koła ZMP, później przewodniczącym Rady Oddziałowej Związku Młodzieży Socjalistycznej. Jako bezkompromisowy i bojowy społecznik otrzymał Złotą Odznakę CRZZ. Będąc na drugim roku studiów został członkiem egzekutywy KZ PZPR.

W sześćdziesiątym szóstym, po wyborach, w których uczestniczył pierwszy Sekretarz KC PZPR, Władysław Gomułka: członek żerańskiej organizacji partyjnej — Pietrzak objął funkcję drugiego sekretarza KZ, a w rok później został pierwszym sekretarzem, pełniąc te zaszczytne i odpowiedzialne obowiązki do dzisiaj.

Władysław Gomułka jest częstym gościem w Żerańskiej Fabryce.

A to, że został członkiem instancji partyjnej FSO, jest bez wątpienia wyrazem uznania dla jej działalności propagatorskiej i organizacyjnej, która stanowi w dziejach fabryki osobny i piękny rozdział.

6.

Żerań, poza niewątpliwie ważną produkcją samochodów, był zawsze konstruktywnym i czujnym świadkiem w życiu politycznym narodu.

W październiku 1956 roku cała prasa krajowa pisała o doniosłej inicjatywie FSO — powołania samorządu robotniczego, jako najwyższej instancji zarządzającej fabryką z ramienia załogi. Przykład ten podchwyciły wszystkie fabryki i zakłady w Polsce.

Prasa donosiła również, we wspomnianym okresie, o masowych wiecach żerańskiej załogi, w czasie których prawdziwie demokratyczna i socjalistyczna linia partii otrzymywała najgorętsze poparcie.

Zapoczątkowany przez ZMS w 1959 roku ruch współzawodnictwa o tytuł „Brygady Pracy Socjalistycznej" do dziś stanowi na Żeraniu jeden z najistotniejszych aspektów pracy politycznej, wnosząc tym samym znaczny wkład w realizację zadań produkcyjnych.

Współzawodnictwo. Jemu między innymi należy zawdzięczać, że FSO wypuszcza obecnie w ciągu roku czterdzieści jeden tysięcy samochodów, że zamiast siedmiu tysięcy „Polskich Fiatów", które przyniósł rok miniony, w roku bieżącym będzie ich piętnaście tysięcy.

ANDRZEJ MAKOWIECKI

## Półka z książkami

### TROCHĘ JAPOŃSKIEJ EGZOTYKI

„Piszę przy oknie, nocą, gdy po deszczu przyświeca mi mgliście księżyc. Dzięki niemu dostarczę wydawcy swój rękopis, więc powiem mu, żeby tytuł był: „Po deszczu przy księżycu".

I rzeczywiście taki tytuł nosi zbiór japońskich opowieści, których autorem jest Ueda Akinari, pisarz z drugiej połowy XVIII i początku XIX wieku. Treść pełnych poetyckiego uroku opowieści odnosi się do różnych epok, poczynając od X, a kończąc na XVII, natomiast wątki do większości nowel zaczerpnął Ueda z literatury chińskiej i tylko część motywów z literatury rodzimej. Najczęściej jednak błaha fabuła oryginału jest dla niego tylko odskocznią do stworzenia nowej opowieści umieszczonej już w realiach japońskich.

Akcja rozgrywa się w różnych środowiskach społecznych, ale Ueda nie pokazał pełnej wizji społeczeństwa. Chciał raczej przedstawić ideały i wzorce moralne, które mogłyby uzdrowić chore społeczeństwo japońskie. Pisane po deszczu opowieści nie mają nic wspólnego z nudnym moralizatorstwem. Przeciwnie. Ueda Akinari chętnie ucieka z rzeczywistego świata w świat fantazji zaludniony widmami, upiorami i bogami, które są tu uosobieniem grozy, sprawiedliwości i mądrości. Wszystkie zjawy występujące w książce znane są w Japonii i Chinach z legend i opowieści przekazywanych ustnie, bądź z tekstów pisanych lub dramatów. Oczywiście jednak dla czytelnika polskiego pełne są egzotycznej nowości i uroku. Tak zresztą jak i cała książka Uedy Akinari.

Króciutko chociaż trzeba podkreślić, staranną edycję opatrzoną wyczerpującymi przypisami i wyjątkowo ładną szatę graficzną. Tę niewątpliwie cenną dla bibliofilów pozycję zawdzięczamy Ossolineum.

B. M.

Ueda Akinari — „Po deszczu przy księżycu", Ossolineum, 1968, str. 285, cena zł 45.

### ZDUMIEWAJĄCY BUDREWICZ

Olgierd Budrewicz, autor popularnego „Baedekera warszawskiego", cieszy się ogromną sympatią licznych rzesz czytelniczych. Posiada on niespotykany dar pisania dla wszystkich poczynając od tych, którzy dopiero zawierają przymierze z literaturą, a na najbardziej wyrafinowanych bibliofilach kończąc. Ten rzutki dziennikarz potrafi bowiem łączyć lekkość stylu z kompetencją informacji, rzetelność przekazu z dowcipem.

„Zdumiewająca Warszawa", najnowsza książka Budrewicza, stanowi wybór tekstów z trzech tomów „Baedekera". Nie jest ona wszakże tylko przewodnikiem po obiektach, lokalach, imprezach, dzielnicach i ulicach stolicy, ani zbiorem lużnych portretów co ciekawszych warszawiaków. Felietony i mikroreportaże Budrewicza są przede wszystkim celnym dokumentem życia i rozwoju największego polskiego miasta, pełnokrwistym obrazem jego codziennego dnia.

Budrewicza interesuje w Warszawie prawie wszystko: SPATiF i gra liczbowa, więzienie i cmentarz, Belweder i mosty. Z lekkością i wdziękiem kreśli biografie dzielnic i biografie ludzkie — jest sarkastyczny, to znów szeroko się do nas uśmiecha, jest denerwująco dokładny, aby już po chwili rozbroić nas jakąś nieoczekiwaną impresją. Kocha to miasto i zna je równie, jak kocha.

Z jego pisania wyziera błyskotliwa, można by rzec, nieco cwaniacka mentalność warszawiaka. I może dlatego tak „daje się lubieć".

„Od wielu lat krążę po Warszawie — wyznaje Budrewicz — obserwując i podpatrując bieg wydarzeń. Jest co podziwiać, jest także na co zgrzytać zębami. Tylko o nudzie nie ma mowy nigdy!"

Ostatnie zdanie można odnieść do książki, którą miałem przyjemność omówić.

K.F.

Olgierd Budrewicz: „Zdumiewająca Warszawa", INTERPRESS 1968, str. 354.

JAN KOPROWSKI

# Nocne rodaków rozmowy

*Bohdanowi Drozdowskiemu*

W Warszawie i Łodzi
Londynie i innych miastach
ciągle tylko o jednym
czym był
czym jest
czym będzie ten kraj.
Kraj między wschodem i zachodem
między południem i północą
kraj zielonych dolin
i łagodnych wzgórz
kraj długiej historii
i krótkiego życia.
Pradziad zginął w powstaniu
w scenerii Grottgerowskiej
dziada wychłostali kozacy
w 1905
ojciec krył się w borach
przed potomkami Goethego i Schillera.
Ze wschodu szli na zachód
z zachodu na wschód
zatrzymywali się w Borach Tucholskich
i pod Sieradzem.
Kraj jak poczekalnia dworcowa.
Pociągami i pieszo
do wojska „za wolność waszą i naszą"
na tułaczkę
z mirażem fortuny w oczach.
Żołnierze i uczeni
poeci i bandosi
znani w Europie jako Polacy.
Tęsknili i płakali
ginęli i umierali
z ojczyzną na ustach
w której pozostały topole
gniazda bocianie
zawiedzione nadzieje
i miłość bezrozumna.
Minuty chwały i radości
godziny klęski i nieszczęścia.
Kozietulski na San Domingo
Kościuszko pod Maciejowicami.
Długi wiek dziewiętnasty
wiek wspaniały dla innych.
W szerokie pola
szli żeńcy z kosami
a w południe
gdy słońce stało najwyżej
gryźli skórki chleba na miedzy
i zasypiali umęczeni.
Pierwsza światowa
druga światowa
i las las nieprzebyty.
Doświadczeni wąsacze
młodzi nieletni chłopcy
z sercami granatów w zanadrzu.
Ilu ich przepadło
ilu zostało w ziemi
na całą wieczność
ilu rozwiał wiatr
z popiołami Oświęcimia
i Treblinki.
Zagraniczny korespondent
nie widzi gruzów Warszawy
opisuje plotkę kawiarnianą
ślepy na to
co było
co jest
co będzie.
Ten kraj
bliski i daleki
piękny i tragiczny.
Kto to zrozumie?
Nikt nie zrozumie.
Mówią: nie warto
po co to wszystko
wyjedźmy i zapomnijmy.
Nie nie
po stokroć nie.
Tu wczoraj i jutro
dziś i teraz
na złe i na dobre
dla tych co odeszli
dla tych co przyjdą
na wsi
i w mieście
w górach i dolinach
nad jeziorem w lesie sosnowym
wszędzie
zawsze
Polska.

*Grudzień 1968*

# „Anabaptyści" Duerrenmatta

Efekt obcości (Verfremdungeffekt) to pojęcie sformułowane przez Bertolta Brechta. A Friedrich Duerrenmatt jest wyznawcą Brechta. Wywołanie u widza postawy nieidentyfikowania się z postaciami bohaterów scenicznych jest wspólne jako cel zabiegów dla obu dramaturgów.

Podobno na premierze „Anabaptystów" w Zurychu publiczność gwizdała. Protestowała w ten sposób przeciwko nieludzkiemu okrucieństwu tej sztuki, przeciw jej głównemu bohaterowi, z którym w żadnym sensie nie czuła się solidarna, wreszcie przeciw autorowi, który tak odrażający obraz świata przysposobił. Ta dezaprobata była jednak dla Duerrenmatta dowodem, że cel swój osiągnął.

Bowiem na przestrzeni ponad dwóch tysięcy lat teatr tworzył wzorce moralne, wzruszał losem nieszczęśliwych, potępiał zbrodniarzy i intrygantów, wskazywał na świecie przykłady ludzi odważnych i szlachetnych. Widz mógł więc wybierać między postaciami scenicznymi, od jednych odwracać się ze wstrętem, do innych czuć sympatię, jednoczyć się z nimi w ich dążeniach, współczuć w cierpieniu i niesprawiedliwości, słowem: identyfikować się z aprobowanymi przez siebie bohaterami.

Taka identyfikacja schlebia widzowi, daje mu przeżycia zastępcze, pozwala mu odnosić wraz z bohaterem scenicznym zwycięstwa nad nieprzyjaciółmi, znosić ciosy niesprawiedliwego losu, doznawać wspaniałych wzruszeń miłosnych. Te emocje przeżywane przez widza teatralnego określił Arystoteles jako „litość i trwogę", które zmierzają przy zakończeniu spektaklu do katharsis — oczyszczenia, rozładowania.

Brecht, a za nim Duerrenmatt nie cenią sobie jednak takiej roli teatru. Ludzie przeżywają przecież w jego murach najszlachetniejsze wzloty afektu, po czym wracają do swej skorupy codzienności tacy sami jak byli przedtem. Nic w nich nie pozostaje z podziwianych bohaterów. Świat także się nie zmienia, a konflikty moralne są identyczne jak za Sofoklesa czy Eurypidesa.

Czy nie należy zatem szukać innej drogi dla teatru? Drogi nie schlebiającej, ale drażniącej widza? Smagać jego sumienie, podsuwać mu bezlitośnie zwierciadło, w którym zobaczy samego siebie bez retuszu i upiększeń, ukazywać mu świat w całym jego okrucieństwie? W tych poglądach zbliża się Duerrenmatt do Antonina Artaud, twórcy tzw. teatru okrucieństwa, który w latach poprzedzających II wojnę światową pisał w swoim manifeście:

„W okresie strachu i katastrofy, który przeżywamy, odczuwamy pilną potrzebę takiego teatru, którego wydarzenia nie zagłuszą, którego oddźwięk w nas będzie głęboki, dominujący nad niespokojnymi czasami". *)

Na takim gruncie powstała sztuka Duerrenmatta „Anabaptyści", ponura i bezlitosna, bez pozytywnych bohaterów i bez sprawiedliwego zakończenia. Autentyczny epizod z dziejów Niemiec o mistycznej sekcie nowochrzczeńców, którzy w r. 1534 objęli w posiadanie miasto Muenster, by przekształcić je w Nowe Jeruzalem — posłużył Duerrenmattowi za kanwę do snucia filozoficznych rozważań na temat władzy i niesprawiedliwości.

Historyczną postać jednego z przywódców anabaptystów Jana z Lejdy, czyli Johana Bockelsona, którego w rzeczywistości po zdobyciu miasta przez wojska biskupa Franza von Waldeck trzykrotnie szarpano kleszczami i zasztyletowano, (zwłoki jego umieszczono w pozycji stojącej w żelaznej klatce i zawieszono na wieży kościoła św. Lamberta ku przestrodze) — uczynił Duerrenmatt osią swej sztuki. Z tym że autora nie interesują intencje i cechy charakterologiczne autentycznego Bockelsona. Nie każe mu nawet zginąć po kapitulacji Muenster. Bockelsona traktuje jako formę do wypełnienia własnymi treściami.

Gdy na początku sztuki anabaptyści rozchodzą się po mieście, by głosić swą naukę, Bockelson wypowiada słowa: „Nadeszła chwila, zadrżyj Muenster w Westfalii!" Mógłby zamiast tego powiedzieć: „Kurtyna w górę! Zaczynamy przedstawienie". Z woli bowiem Duerrenmatta niedowarzony aktor postanawia uczynić z całego miasta jakby wielką scenę, a z jego mieszkańców aktorów przedstawienia. On sam staje się głównym histrionem i reżyserem widowiska.

Czy jednak Bockelsonem kieruje tylko pragnienie teatralnego wyżycia się? Nie, jego ponury spektakl ma przecież swą widownię. Stanowią ją książęta Rzeszy, elektorzy, landgrafowie i biskupi oraz sam cesarz Karol V. Jako karykaturalny król „Nowej Jeruzalem" Bockelson naśladuje władców feudalnych, doprowadza do absurdu ich metody sprawowania władzy. Rządzi więc okrutnie, uprawia terror i samowolę, proteguje lizusów i karierowiczów, uprawia nierząd, sprowadza z Hamburga na swój stół delikatesy, podczas gdy mieszkańcy oblężonego Muenster giną z głodu.

Pozostawałoby jeszcze pytanie, jaki cel stawiał sobie Bockelson jako koryfeusz spektaklu, za który miasto Muenster zapłaciło najwyższą cenę, a jego były burmistrz Knipperdolinck, który ślepo uwierzył samozwańczemu władcy, zginął łamany kołem? Z pewnością chciał Bockelson zabłysnąć wobec swych ukoronowanych widzów talentem aktorskim, ale może zamierzał także nimi wstrząsnąć? Powiedzieć możnym tego świata: tacy jesteście, zastanówcie się!

Takie właśnie intencje przypisał Bockelsonowi inscenizator i reżyser łódzkiego przedstawienia „Anabaptystów" Marokańczyk Abdellah Drissi. W takim ujęciu Bockelson staje się postacią tragiczną. Oklaski książąt aplaudujących jego aktorstwo wywołują u niego gest rozpaczy.

Tę niezmiernie trudną rolę zagrał Henryk Jóźwiak. Włożył w nią z pewnością wiele rzetelnego wysiłku, a jednak trudno stwierdzić, że podźwignął zadanie. Przede wszystkim nie udało mu się różnicować interpretacji w momentach, kiedy Bockelson zgrywa się tylko i kiedy wypowiada szczerze to co czuje. Brak tej dyferencji w znacznym stopniu unieczytelnił wymowę przedstawienia. Przecież przez drobne pęknięcia w gładkiej polewie powlekającej postać Bockelsona można by ukazać pewne głębsze treści, ujawnić, że jest on w jakiejś mierze — jak to często było domeną błaznów — sumieniem epoki.

Niestety, aktorstwo nie było najmocniejszą stroną spektaklu, było nierówne, charakteryzowało się złym podawaniem wiersza. Lepiej zarysowały się na tle innych postacie Knipperdolincka w wykonaniu Feliksa Żukowskiego (choć bardzo przeszkadzało złe opanowanie przez aktora tekstu), Judyty (Mirosława Marcheluk), Mnicha (Józef Łodyński), Karola V (Kazimierz Iwiński), Franza von Waldeck (Kazimierz Talarczyk), Rzeźnika (Henryk Staszewski) i Rycerza Johana von Bueren (Antoni Lewek).

A jednak mimo niedostatków wykonawczych mamy do czynienia ze spektaklem dużego formatu. Henri Poulain zapewnił mu ciekawą oprawę plastyczną. Ambitniejsze prace scenograficzne Poulaina mają z reguły charakter znaczący. Także i w tym wypadku wypełniający dużą część sceny mechanizm gigantycznego zegara ma złożoną wymowę semantyczną. Sygnalizuje przede wszystkim, że tragedia rozgrywa się w okresie zapoczątkowującym erę uprzemysłowienia. Symbolizuje nieubłagany przepływ czasu. Zapowiada tortury i kaźń Knipperdolincka.

Reżyser, wykorzystując scenę obrotową nadaje przedstawieniu rytm filmowego montażu, przy czym jak w filmie kolejne sceny wchodzą w poprzednie jakby metodą przenikania. Do dusznej atmosfery przedstawienia dostrojona jest ilustracja muzyczna oparta na oratorium „Mesjasz" Haendla.

Publiczność łódzka nie protestuje przeciw okrucieństwu „Anabaptystów" gwizdem. Ale i oklasków skąpo. Wszyscy są jakby odrętwiali, przybici. Duerrenmatt osiąga swój cel.

*) A. Artaud „Le theatre et la cruante", Paryż 1933.

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

# TEATR wyobcowania

TADEUSZ SŁUPECKI

# Przyjemna NOC

Noc w lesie jest ciepła, milcząca, jak oni. Porosły trawą dukt zdaje się skradać za nimi. Z obu stron drogi czai się mroczny gąszcz podobny do tysięcy leśnych gąszczy. W górze czepiają się nieba banalne, udające księżycową fantastykę gałęzie sosen. Pośród nich, niby teatralny rekwizyt, zwisa stary, lamplonowo banalny księżyc. Czy tu w ogóle istnieje coś niebanalnego? pomyślał ironicznie Stefan, ale zaraz jego myśli wracają do Czajkówny. Cholernie ładna babka! myśli, przypatrując się jej twarzy, udziwnionej przez ciemność. W nocy dziewczyny są jak koty, wszystkie ładne! reflektuje się, lecz ma ochotę ją pocałować. Aby przerwać to śmieszne milczenie między nimi, spytał czy nie żal jej tańców na weselu, z którego się przed kwadransem wymknęli.

— Nie. Wolę spacerować w lesie.

— Ale za ten nocny spacerek ze mną, baby nie zostawią na pani suchej nitki.

— Gdyby mogły, nie pozostawiłyby na mnie niczego.

— To byłoby nawet interesujące.

Roześmiał się dla studenckiego „fasonu". Ona jednak mylnie zrozumiała jego śmiech i musiał jej pobłażliwie wyjaśniać, że śmieje się nie z niej, a po prostu jak ktoś, kto z ładną dziewczyną przetańczył przyjemnie wieczór, a przed sobą widzi jeszcze przyjemniejszą noc. Spojrzała w ciemności ku niemu, spytała ironicznie, czy jest tego aż tak bardzo pewien, ponieważ jej wydaje się, że on nawet na spotkaniu z dziewczyną będzie zbierać obserwacje do swojej powieści. Wyczuł kpinę w jej głosie, więc zapewnił pospiesznie, że tak czynił uprzednio, lecz teraz jest ona dla niego wyłącznie obiektem prywatnej sympatii.

— Inaczej mówiąc, facetką do wakacyjnego migdalenia? A ja bym nawet kozły z panem fikała, byleby tylko ludzie mogli czytać o mnie za sto lat!

Jej głos zabrzmiał teraz nagłym rozczarowaniem. Uśmiechnął się: a więc ona, podobnie jak wszyscy tu, uważa mnie za literata! zabawne, myślał, nawet przy dziewczynie będę tu leżał w obcej skórze. Mogę zrzucić ubranie, przypaść do jej ciała moją nagą skórą, dla niej będzie to skóra owego nie istniejącego literata, którego muszę tu udawać przez przypadek! Tylko dlatego, że przyjechałem tu ze służbową delegacją literackiego tygodnika. Jednak skórę i pieszczoty tej dziewczyny, choć przeznaczone dla tamtego f i k c y j n e g o, będę odczuwał ja, istniejący realnie, od niego całkiem różny! pomyślał znowu. Dostrzegł pień drzewa, zwalony przez drwali przy leśnym dukcie, pociągnął tam Czajkównę. Usiadła, pozwoliła mu się pocałować w usta, po chwili jednak zaczęła się znowu niepokoić z komiczną powagą w głosie, o to, że przeciętnej dziewczynie to chyba niełatwo jest zostać bohaterką powieści. Uśmiechnął się z rozbawieniem:

— Dlaczego? Wystarczy przespacerować w lesie kilka wieczorów z jej autorem. Niejaka kobieta w ten właśnie sposób rozpoczynała karierę książkowej heroiny.

— No, tak. Ale...

— Co jeszcze za „ale"?

— Czemu pan udaje naiwnego? Już tu panu o mnie nieźle nagadali.

Odsunęła się od niego, jej głos brzmi teraz wyzywająco. Nie odpowiedział, zły na nią o to przypomnienie: płoszyło w nim naraz ów pobłażliwy nastrój studenta wobec prowincjonalnej ładnisi, a także pożądanie, jakie w jego ciele budziła jej bliskość. Wstał z pnia pierwszy, nagle znowu chłodny i studencki, ruszył leśnym duktem. Ona idzie obok niego, teraz obca i nieprzyjazna. Powtarza z wyzwaniem w głosie, które wydaje mu się nieco teatralne, że na pewno nagadali tu mu już niemało, z kim w swoim życiu spała i ile z tego spania urodziła nieślubnych dzieci, lecz co on, pytała, wie o niej poza plotkami tych obłudnych bab?

Milczał z uporem, urażony ciągle o to niemiłe przypomnienie, co zakłóciło im nastrój nocnego spotkania. Więc ona z wyzwaniem w głosie przypomina, że nie tylko ma nieślubne dzieci, lecz sama jest także nieślubnym dzieckiem, o czym on chyba już wie, ale o jej nienawiści do Koniecmiłyńskiego, tamtego pańskiego ojca,

# w Warszawie i Łodzi

MIECZYSŁAWA WALCZAK

# „CZYSTA GROTESKA"

## contra

## „Wyolbrzymiona tragedia"

**Najgorszy obrót, jaki może przybrać historia to zwrot w stronę komedii (F. Duerrenmatt)**

W swoich „Anabaptystach" Duerrenmatt rezygnuje z pokazywania przyczynowości wydarzeń. Następujące po sobie sceny nie łączą się w nierozerwalną całość. Jedną scenę można zastąpić inną lub zmieniać ich kolejność bez szkody dla logicznego ciągu akcji, bowiem poszczególne fragmenty skonstruowane są tak, że bez względu na kolejność ich prezentacji zawsze wiązać się będą w łańcuch przyczyn i skutków. Co więcej, przy scenicznej realizacji sztuki istnieje spora ilość możliwości interpretacyjnych, różnie można także potraktować jej bohaterów.

Za przykład różnorodnych możliwości inscenizacyjnych posłużyć może porównanie dwóch całkowicie odmiennych w swym założeniu przedstawień „Anabaptystów": w warszawskim Teatrze Dramatycznym i łódzkim Teatrze im. Stefana Jaracza.

Reżyser Ludwik Rene, ukazał tę komedię jako krwawą farsę. Z na pozór komediowych sytuacji słów i postaci wyrasta tragiczna koncepcja ludzkiego życia. Reżyser w sposób celowy i świadomy burzy wizję teatralną spektaklu. Przedstawienie rozpoczyna się od prezentacji występujących postaci. Wszystkie sceny montowane są na zasadzie „teatru w teatrze". Aktorzy odnoszą się do scenicznych wydarzeń z zamierzonym dystansem, spotęgowanym jeszcze wprowadzeniem pieśni komentujących przebieg akcji. Nierzadko sceny „Anabaptystów" mają w sobie coś z moralitetu, choćby spór Zieleniarki z Lancknechtami zakończony antywojennym morałem.

Muzyka Tadeusza Bairda idzie w kierunku zaakcentowania farsowości widowiska. Żartobliwe, niemal beztroskie tony znanych melodii brzmią szyderczo w zestawieniu z tragicznym losem mieszkańców miasta Muenster. W epilogu wkracza po raz wtóry na scenę 40-osobowy korowód wykonawców defilując przed zdezorientowaną widownią przy dźwiękach wesołej muzyki, bezlitośnie urągającej ludzkiemu nieszczęściu.

Widzowie oglądając ten spektakl przez cały czas zachowują świadomość tego, że znajdują się w teatrze, a wszystko co czynią aktorzy jest tylko teatralną iluzją. Od początku do końca pozostają widzami, przed oczami których jak w barwnym kalejdoskopie przesuwa się 20 obrazów-migawek. Farsową koncepcję świata przyjmują jako rzecz normalną, bo stanowiącą cząstkę ich rzeczywistości.

Wydawać by się mogło, że „Anabaptystów" nie można było „zrobić" inaczej jak to uczynili twórcy warszawskiego spektaklu, jako że sam autor, prowadził z nimi przez cały okres prób korespondencję, proponował zmiany, dyskutował na temat koncepcji z reżyserem, scenografem, kompozytorem i aktorami. Był czynnym współtwórcą widowiska, nie szczędzącym wysiłku i drobiazgowej, wnikliwej analizy. Czyż można było dać bardziej duerrenmattowską inscenizację tej sztuki? A jednak. Autor uważa, iż nie należy z góry ustalać wszelkich założeń spektaklu, bowiem dopiero w konfrontacji z reakcją publiczności można ocenić wartość koncepcji.

Reżyser łódzkich „Anabaptystów" znalazł inne wyjście, trafność którego zda się potwierdzać sam Duerrenmatt pisząc w „Rozważaniach dramaturgicznych na temat Anabaptystów": „Kiedy komedia staje się teatrem świata, tylko akcja musi być komiczna, w przeciwieństwie do niej postacie są bardzo często nie tylko niekomiczne, lecz tragiczne". Z takiego właśnie założenia wyszedł Abdellah Drissi pozostawiając komizm sytuacyjny, a postacie komedii czyniąc tragicznymi. Już sam początek zapowiada jakieś apokaliptyczne objawienie — spektakl rozpoczyna się od doniosłych, nie do zniesienia głośnych tonów Alleluja. Także przerywniki w tekście wypełniają utwory z cyklu „Obrazy śmierci" Hansa Holbeina. Po pewnym czasie następuje zamierzone znużenie widza. Zostaje on odurzony, przygnieciony i zgnębiony przerażającą siłą tej niby-komedii nie mającej z beztroskim śmiechem nic wspólnego. Odnajduje natomiast symboliczne przedstawienie mechanizmu historii i mimo woli musi stać się jednym z uczestników toczących się na scenie wydarzeń. Jest zmęczony zmęczeniem ludu miasta Muenster buntuje się przeciw wielkim, tego świata, pogardza Lancknechtami, którzy uważają iż: „rzecz nie w tym komu się służy, ale za ile", przeraża i oburza go scena hipnotycznego erotyzmu mieszkańców Nowego Jeruzalem.

Łódzki spektakl jest prowokacją. Reżyser traktuje widzów jako sprawców i uczestników przedstawienia. Słowa Biskupa skierowane wprost do widowni: „Ten nieludzki świat musi stać się bardziej ludzkim. Ale jak?" Ale jak? — są rękawicą rzuconą beztroskim, zadowolonym z życia mieszczuchom, którzy czuli się zawiedzeni nie znajdując w teatrze bezproblemowej rozrywki. Opuszczają teatr zaszczepieni dziwnym niepokojem, z pytaniem na które sami muszą dać odpowiedź. L. Rene każe to pytanie zadać Mnichowi — intelektualiście, którego mądrość polega na przewertowaniu grubych tomów. A. Drissi to samo pytanie wkłada w usta stuletniego starca, jakby kpiąc sobie z mitu o starczej mądrości i przeczące sile doświadczenia. Pytanie to rzuca w próżnię, bo nie oczekuje na nie żadnej odpowiedzi.

Różnie potraktowana została w obydwu spektaklach postać Bockelsona — byłego czeladnika krawieckiego, szynkarza, właściciela burdelu, członka Zgromadzenia Krasomówczego, autora kilku fars, wreszcie aktora. Bockelson niedostrzeżony jako aktor postanawia zagrać swą życiową rolę — demonicznego proroka, króla anabaptystów. W tym celu miasto Muenster obiera za sceniczne miejsce akcji, zaś jego mieszkańców czyni aktorami.

Wiele osób doszukuje się prototypu Bockelsona w osobie Hitlera przyjmując za wspólny mianownik — manię wielkości i poczucie nadczłowieczeństwa. Jest jednak między nimi wielka różnica. Hitler był postacią bezlitośnie rzeczywistą, Bockelson jest fikcyjnym „odpowiednikiem teatralności właściwej każdemu władcy".

Warszawski Bockelson z Lejdy (Ryszard Pietruski) okazał się przede wszystkim aktorem, który nie licząc się z następstwami swych czynów postanawia grać rolę jednego z małych, pospolitych oszustów, uważając się przy tym za wybitnego aktora i genialnego reżysera. Jest daleki od niszczycielskiego demona o historycznych wymiarach. Pozbawiony wszelkich skrupułów buduje sobie ze swych ofiar pomnik sławy, aby na tym broczącym krwią podwyższeniu poddać Muenster w ręce wojsk Biskupa w zamian za „wieniec sławy" i „trzykrotnie maksymalną gażę" w prywatnym teatrze Kardynała. Na słowa uznania i oklaski książąt reaguje cwaniackim mrugnięciem oka w stronę widowni.

Łódzki Bockelson (Henryk Jóźwiak) jest przede wszystkim postacią tragiczną. Decydując się na zagranie roli wielkich tego świata nadaje im cechy wyzyskiwaczy, zbrodniarzy i łupieżców. — „Tak więc czyniłem ku waszej rozrywce to, co i wy czynicie. Rządziłem, uprawiałem samowolę i wymierzałem sprawiedliwość... Nosiłem tutaj tylko waszą maskę", zwraca się do grona zgromadzonych władców. Bockelson — Jóźwiak przeżywa swą rolę, ale przygnieciony jej ciężarem, zrzeka się dobrowolnie dalszego ciągu, a oklaski będące wyrazem uznania dla jego „kreacji" kwituje rozpaczliwym gestem zasłonięcia sobie uszu. Te klaszczące ręce przygniatają go swym ciężarem, są stokroć gorsze niż ręce kata. Bockelson opuszcza miasto w przebraniu zwykłego mieszczucha zostawiając książętom insygnia królewskiej władzy.

Szkoda, że aktorzy grający rolę Bockelsona nie potrafili wykorzystać wszystkich możliwości tkwiących w tej niezmiernie bogatej i skomplikowanej charakterologicznie postaci.

Były burmistrz — Knipperdolinck umiera na kole tortur płacąc w ten sposób za swą wiarę w boską moc i bezkrytyczny stosunek do ludzkich poczynań. Knipperdolincka grali w Warszawie — Mieczysław Milecki, w Łodzi — Feliks Żukowski. Pierwszy z nich niemal farsowy w swym ślepym, religijnym fanatyźmie wzbudzał u widzów drwiący uśmieszek. F. Żukowski jako Knipperdolinck był tragiczny w swej ślepej wierze i dziecięcej naiwności z jaką przyjmował wszelkie poczynania domniemanego wysłańca niebios — Bockelsona. Jeśli nawet był miejscami w swej roli niekonsekwentny, to wynagrodził te braki zaprezentowaniem szaleńczo-mistycznego tańca, w którym zawarł cały indywidualny tragizm tej postaci.

Biskup — Franz von Waldeck (Piotr Pawłowski) okazał się zgorzkniałym, kłótliwym i złośliwym starcem, dla którego pokonanie znienawidzonego wroga stanowiło główny motor działania. Biskup w interpretacji Kazimierza Talarczyka był bardziej ludzki. Ten zgorzkniały fanatyk teatru zdolny jest do buntu wynikłego z obserwacji przerażająco tragicznej teatralności świata.

Rozumnemu Biskupowi przeciwstawiona została postać Mnicha, pseudo-misjonarza, który uważa, że rozum jego jest zdolny „ujarzmić ten nierozumny świat". Ponosi jednak żałosną porażkę. Mnich (Stanisław Wyszyński) ufa sile swej wiedzy, dostrzega paradoksy ludzkiego życia. Z chwilą klęski anabaptystów odchodzi bezpiecznie nadal głosić swe utopijne poglądy. Mnich (Józef Łodyński) to mały człowieczek zaplątany w machinę historycznych wydarzeń. Jego zakonny strój wygląda w takim zestawieniu groteskowo. Ów mały krzykacz zostaje bezceremonialnie osądzony i powieszony.

Judyta (Janina Traczykówna) jest istotą zbuntowaną, żywą, energiczną, szlachetną i konsekwentną w swej walce do końca.

Judyta (Mirosława Marcheluk) to młode dziewczątko przyjmujące z rezygnacją rolę jednej z 16 żon Bockelsona, zapatrzone w siebie, niezdolne do działania. Dopiero w scenie — u Biskupa, budzi się ze swego odrętwienia rodzi się w niej bunt i rozpaczliwa odwaga.

Antoni Lewek i Zdzisław Jóźwiak stworzyli pełne werwy postacie cynicznych i krzykliwych rycerzy Lancknechtów, w przedstawieniu warszawskim rycerze Johan von Buren (Mieczysław Stoor) i Herman von Mengerssen (Zygmunt Kęsto) byli mniej wyraziści i za mało zróżnicowani.

Natomiast Zielenfarka (Maria Kozierska) zbyt „intelektualna" nie posiadała niezbędnego tutaj moralitetowego humoru i kupieckiego sprytu jaki zaprezentowała Katarzyna Łaniewska.

Zarówno Andrzej Szczepkowski jak i Kazimierz Iwiński wywiązali się bez zarzutu z roli Cesarza Karola V kierując z cynicznym wyrachowaniem i dyplomatycznym zmysłem polityczną rozgrywką między książętami.

Ciekawą sylwetkę nieco rubasznego Landgrafa Heskiego nakreślił Mieczysław Szargan. Na uwagę zasługuje także skondensowana, bezbłędnie naszkicowana postać Rzeźnika (Henryk Staszewski).

W „Anabaptystach" występuje ponad 40 aktorów, ale każde ich pojawienie się na scenie jest umotywowane. Szczególnie sugestywnie wypadły dwie sceny zbiorowe: erotycznej ekstazy mieszkańców Muenster oraz Bockelson ze swoimi żonami. W sumie jednak odczuwa się niedosyt gry aktorskiej, a wiele interesujących zamierzeń autora i reżysera nie zostaje w pełni zrealizowanych.

Szczególne miejsce zajmuje w przedstawieniach „Anabaptystów" scenografia. Dekoracje Jana Kosińskiego bardzo oszczędne i potraktowane serio harmonizują z całością widowiska. Scenografia nie pełni tu funkcji dramatycznej, celowo usunięta na dalszy plan pozwala na wyeksponowanie samych postaci i przebiegu akcji.

Inaczej w Łodzi — Henri Poulain uruchomił całą machinę: zwodzone mosty, żelazne bramy, rozchodzące się w różne części miasta uliczki, baszta obronna itp. Wszystko to zgrzyta, kręci się, jest prawie w bezustannym ruchu. Ma się wrażenie, że owa machina zetrze za chwilę z powierzchni sceny aktorów i przyczyni się do ostatecznego pognębienia widzów. Bohaterowie osaczeni i przytłoczeni jej ogromem przypominają bezsilne kukiełki, którymi ona dyryguje i reguluje tempo toczących się wydarzeń. Tak więc scenografia H. Poulai na dopełnia jeszcze tragicznego wydźwięku tej „wyolbrzymionej tragedii".

*Henryk Jóźwiak i Feliks Żukowski w „Anabaptystach" w Teatrze im. Stefana Jaracza w Łodzi.*

*Fot. Fr. Myszkowski*

---

który mijał ją we wsi jak by nie była jego córką, to zapewne już nie wie.

Pomyślał ironicznie, że tutejsza rzeczywistość znowu częstuje go banałem, historią uwiedzenia z poprzedniej epoki, tak powszednią niegdyś w życiu i literaturze, że żaden szanujący się pisarz nie włączyłby jej już do swojej powieści. Uraza w nim powoli wygasała. Szedł obok Czajkówny nadal w milczeniu, ale już jedynie po to, aby mogła się wypowiedzieć. Czyniła to z chłodną pasją, choć nawet w tym wydawał się wyczuwać nieco teatralnej pozy. Nie, mówiła, nie może twierdzić, aby swego chłopskiego ojca i w ogóle tych ludzi tu nie kochała, lecz zarazem ich nienawidzi tak, jak nienawidzi tu wszystkiego i wszystkich. Przy tym, choćby miał nawet z niej się śmiać, wyzna mu, że zawsze marzyła o innym życiu. O takim, jakie niekiedy bywa w powieściach, życiu trudnym i skomplikowanym, ale mającym swój ludzki smak i sens, ale wśród ludzi, umiejących zrozumieć drugiego człowieka, nawet kiedy może on wypowiedzieć się jedynie milczeniem.

— Czy nie zamierzałaś jednak mówić raczej o przeżyciach innej natury?

Stefan czuje, że to odezwanie wypadło niezręcznie, ale woli zmienić niewygodny dla siebie temat, a przy okazji przejść z dziewczyną na „ty". Spojrzała ku niemu z ciemności czujnie i syknęła, przechodząc także na „ty":

— Ciekawyś jak ksiądz! Proszę więc, posłuchaj, choć niczyich potępień się nie lękam, ani rozgrzeszeń nie potrzebuję. Męża nie posiadam, co gorsza, nie mam także ochoty na niego. Kto zresztą mógł tu chcieć mnie za żonę? Głupawy listonosz, co jeszcze teraz mi się oświadcza, paru okolicznych chłopów, szukających ślubnej najemnicy do dźwigania karmy dla świń? Przy tym nawinął mi się dyrektor końskiej stadniny z sąsiedztwa. I tak mną jakoś zakręcił, że anim spostrzegła, jak zmajstrował mi dzieciaka. Umarł wtedy nieżonaty kowal, więc mówiłam, że to od niego i że nie zdążył się ze mną ożenić. A dziecko wziął tamten dyrektor, gdyż żonę miał niepłodną i bardzo pragnął dzieci.

Znowu spojrzała na niego badawczo.

— Drugi raz wpadłam z tutejszym ogrodnikiem. Może by się ze mną ożenił, gdyż przedtem mnie na zabawie spił i mocno we mnie gustował. Nie mogłam jednak później patrzeć na niego, choć to był dobry ogrodnik i kawał mężczyzny.

Stefan przystanął. Ponownie targnęła nim złość do Czajkówny: też wybrała sobie porę i temat do zwierzeń! Najbardziej nie lubił u kobiet tego, że niekiedy razem z sobą chciały mu oddawać wszystko, nawet swoją przeszłość. Raziło go to tym silniej, że sam takiej potrzeby psychicznej ekshibicji nie odczuwał. Dlatego przerwał dziewczynie:

— Słyszałem, że spałaś także z sezonowymi robotnikami?

— Słyszałeś, słyszałeś! — zaczęła go przedrzeźniać. — I co z tego. Mam już trzydzieści lat, jeszcze trochę i zostanę starą babą. Czy wy, mężczyźni, też czekacie z tym na wasze żony? Zresztą, na kogo miałam tu czekać? Dawnych królewiczów nie ma, a ty... czy ty byś się ze mną ożenił, nawet gdybym nie spała z sezonowymi i nie miała dwojga nieślubnych dzieci? No co, ożeniłbyś się ze mną, mój ty wielki pisarzu?

Stefan czuje się bezradny wobec psychicznych powikłań tej prowincjonalnej ładnisi, która pragnie, podobnie jak on, dostać się do literatury. Tyle, że on pragnie zagrać tam rolę wybitnego pisarza, ona — dramatycznej heroiny jego powieści. Właściwie, to my jesteśmy sobie bardzo bliscy! stwierdza naraz ze zdumieniem. Las skończył się, przed nimi połyskuje teraz w nocy jezioro.

— Przestań, Ira, tragizować. Nie przyszliśmy tu w nocy po to, aby skakać sobie do oczu.

— To tyś zaczął.

Przyciąga ją pojednawczo do siebie, i już z nią pogodzony, skręca na ścieżkę wzdłuż jeziora. Żal mu tej dziwnej dziewczyny, lecz cóż może dla niej uczynić? Cóż mógłby nawet, gdyby był naprawdę wielkim pisarzem? Obejmuje dziewczynę w pół, na piersiach czuje jej prężny biust, na ustach jej posłuszne usta. Już miał opaść z nią w trawy nad jeziorem, tak jak od wieków opadali z sobą w trawy kobiety i mężczyźni, gdy usłyszał krzyk. Słaby i anemiczny, ów daleki krzyk stopniowo potężniał, aż rozlał się w nocy wrzawą, jękiem żelaznej szyny: widocznie za lasem płonął pałac. Po chwili wahania Stefan zdecydował:

— Wracamy!

Czajkówna z żalem spojrzała na zaciszny gąszcz nadjeziornych sosen, lecz usłuchała. Na dziedzińcu majątku pożaru nie dostrzegli, za to ujrzeli nocnego stróża z dwoma ujadającymi psami i dyrektora, rugającego oborowego, który właśnie przestał bić młotkiem w żelazną szynę. Na widok Stefana oborowy wpadł w pijacki zachwyt: milicji, psiakrew, to nigdy nie ma, klął, za to prasa zawsze na posterunku. I prosił, aby Stefan kazał zamknąć do więzienia „tego łobuza dyrektora", który porządnym ludziom nie pozwala bić w szynę.

— Ja ci dam łobuza, tylko ty mi jutro wytrzeźwiejesz!

Dyrektor pogroził oborowemu pięścią, odwrócił się do Stefana, narzekając na gości z wesela, z którego wymknęli się przed godziną. Tymczasem goście rozpoczęli między sobą bójkę, w dodatku urządzili w majątku nocny alarm. Stefan niepewnie zerknął ku nadąsanej Czajkównie, potem niedowierzająco na dyrektora: to w pałacu się nie pali?

— Skąd! to pali się tylko we łbach dziadkowych gości.

Bójka wybuchła w weselnej izbie, lecz teraz przeniosła się w pole pod wysoki, ceglasty mur, ogradzający dziedziniec majątku. Powód bójki, ładna czarnowłosa agronomka, ubrana w białą nylonową bluzkę, stała wśród kobiet i krzyczała razem z nimi, ilekroć ktoś z bijących się padał na ziemię.

Czajkówna uczepiła się dłoni Stefana: widział, jak złość za stracony wieczór mieszała się w jej twarzy z obawą o niego, uczuciem równie starym jak zaciekłość walczących i świecący w górze księżyc. Nie trzeba było lepiej pozostać w lesie? syknęła mu w ucho, lecz nawet jej nie odpowiedział; akurat dostrzegł krzyczącego się w cieniu dziadka-malarza. Krzyknął na niego, z ciemności wyłonił się także zaraz Gawron i dyrektor, więc w czwórkę złapali za ręce i nogi skrzypka Galika, powlekli do niedalekiego dołu po glinie, gdzie w żółtym świetle księżyca połyskiwała deszczowa woda. Wrzucili go do niej w świątecznym ubraniu, i trzymali tam, póki nie wytrzeźwiał.

Galik otrząsnął się z wody, ruszył truchtem, zabierając z sobą po drodze gapiącego się z boku akordeonistę. Następnym pacjentem był Barszczyk. Ten wytrzeźwiał już po drugim zanurzeniu w mętnej wodzie stawku. Z czworaków dobiegł właśnie gorliwy jazgot Gawlikowych skrzypiec, śpiewny ton akordeonu. — Za dwie minuty tańczysz u dziadka! rozkazał znowu Stefan i spytał, czy Barszczyk zapomniał już o lekarzu, który chciał go zabrać do szpitala wariatów. Barszczyk nie zapomniał, po drodze pociągnął za sobą kobietkę z warkoczami. Tak trzeźwili kolejno wszystkich i kolejno wszyscy szli potulnie tańczyć w dziadkowej izbie.

Nagle Stefan przypomniał sobie o Czajkównie: że też mógł tak zapomnieć o tej dziewczynie! ostatni raz widział ją w chwili, gdy trzeźwił Barszczyka, lecz co z nią stało się póź niej? Spojrzał, po czworacznym podwórku: oprócz dziadka i Gawrona nie było tu już nikogo. Gapie wrócili do domów, dyrektor również, dziadkowi goście na nowo tańczyli na weselu. Przekonywał się, że musiała tam pójść i Czajkówna, znudzona, rozzłoszczona, nadąsana aż strach. Zajrzał przez okno do izby tańców i zdziwił się niemile, w sieni oraz w izbie ze stołami także nie dostrzegł dziewczyny. Więc coraz bardziej zaniepokojony, powrócił na miejsce niedawnej bijatyki, jasną od księżyca szosą pobiegł na skraj lasu, przetrząsnął mroczny gąszcz sosen, nawoływał: Czajkówny nigdzie nie było.

---

*) Fragment powieści pt. „Tamto dziwne lato", która ukaże się wkrótce nakładem Wydawnictwa Łódzkiego.

TERESA WOJCIECHOWSKA

# JEDEN-ZERO dla zwierząt

Wiosna przyszła tego roku nagle, wtargnęła niemal żywiołowo z dnia na dzień. Prawie w naszych oczach rozwijały się pąki drzew, zieleniły trawniki. Całe bogactwo roślinne Ogrodu Zoologicznego służy już swym mieszkańcom czworonogim i dwunożnym przybyszom. Zwierzęta są już w letnich pomieszczeniach, sezon w ZOO rozpoczęty. Nasz ogród zoologiczny to piękny zakątek miasta, jego gospodarze, dbają by zieleń była jak najbujniejsza, by było jej jak najwięcej. Dla ludzi i dla zwierząt.

Drzemią w majowym słońcu rysie i żbiki, słońce nastraja koty sennie. Ociężałe są również pawiany. Ruchliwa zazwyczaj rodzina snuje się leniwie po wybiegach. W oczekiwaniu na obiad przegryza się na zakąskę smakowite liście mlecza. Jedna z małp wydaje się wyraźnie ożywiona. Trzyma w łapach coś okrągłego, białego, odrywając zębami warstwy papieru. Co to? Oczywiście lusterko. Oczywiście od człowieka. Bezmyślnego? Głupiego? Złośliwego? Teraz trzeba będzie je odebrać, zanim zwierzę zrobi sobie krzywdę. A to wcale nie takie proste.

U lwa morskiego pływają w wodzie papierki od cukierków, kawałki bułki z szynką, owoce, ciastka. Lew morski tego nie lubi, on jada tylko ryby. Ludzka bezmyślność, głupota? Jakiś chłopak skarży się, że małpa porwała mu długopis, który wetknął między kraty. Myślę złośliwie: dobrze zrobiła. Ktoś inny kopie w siatkę, żeby zdenerwować pawia.

2

W sali projekcyjnej ogrodu zoologicznego eksponowana jest wystawa prac młodzieży ze szkolnych Kół Ligi Ochrony Przyrody. Piękne albumy, z rysunkami zdjęciami, kolekcjami znaczków pocztowych, mapy, wypchane okazy zwierząt — owoc pięknej pracy łódzkich kół, które uczestniczą w ogólnopolskim konkursie LOP. Mimo stałego dozoru pracowników ZOO wystawa jest zdekompletowana, zdjęcia z albumów powyrywane, znaczki przetrzebione.

Pracownicy naukowi naszego ogrodu z optymizmem mówią o pracy z młodzieżą, o wyjazdach do szkół i przedszkoli z pogadankami i żywymi okazami: żółwiami, pancernikami, zaskrońcami, nawet małym niedźwiadkiem. Współpraca między ZOO a szkołami zacieśnia się coraz bardziej. Już drugi rok siódme klasy odbywają lekcje biologii w ZOO, ucząc się na żywych okazach. ZOO prowadzi dla szkół kursy hodowli zwierząt laboratoryjnych jak patyczaki, świerszcze, ryby, myszy, świnki morskie. Często na okres wakacji, gdy dzieci opuszczają szkołę, ich pupile są przyjmowani na przechowanie do ZOO. Zapoznawanie dzieci ze zwierzętami i ich życiem, wytwarzanie instynktu opiekuńczego — to najwłaściwszy chyba sposób wykształcania owej kultury obcowania ze zwierzętami.

3

Słonie mają najmniej kłopotów z ludźmi. Widocznie waga i budowa budzą respekt. Z takim przeciwnikiem lepiej nie zaczynać. Więc Magda i India spokojnie kąpią się w piasku. Lubią i kąpiel wodną, owszem. Najpierw prysznic (trąbą) z wody, potem z piasku i — wówczas najgorętsze słońce nie dokuczy. India i Magda są rówieśnicami. Przed sześciu laty, jako małe słoniczki zostały przywiezione do łódzkiego ZOO. Pierwsza Magda. Była bardzo zalękniona, nie dochodziła do ludzi. Teraz na krok nie opuszcza Indii, bardziej pewnej siebie, ba nawet trochę krnąbrnej i upartej. Są bardzo zaprzyjaźnione, kiedy zawoła się jedną, przychodzą obie. Niedawno przeżyły trudne chwile: doroczne ważenie. Jest to cała ceremonia. Słonie muszą przejść do wagi drogę około 500 metrów. Na ten czas zamyka się pawilony i pilnuje, żeby w ogrodzie panowała cisza. Żadnych pojazdów, żadnych samochodów, hałasów, sygnałów dźwiękowych. Ważą się jednocześnie, bo Magda sama nie wejdzie na wagę. Potem Magda schodzi, waży się samą Indię, a różnica to właśnie waga Magdy. India jest nieco większa. Waży dziś 2.850 kg. Od ubiegłego roku przybyło jej 460 kilo. Kiedy ją tu przywieziono ważyła bardzo mało — 388 kg.

Potężne zwierzęta mają mało ruchu, energię trzeba rozładować w sposób bezpieczny dla otoczenia. Dba o to ich opiekun. Znają go dobrze, są posłuszne. Nie darmo zresztą. Kieszenie opiekuna są zawsze wypełnione słodyczami. Oglądam takie ćwiczenia towarzyskie. Siad, potem połóż się i wielkie cielsko już leży na ziemi, potem znów siad i trąba wyciąga się w kierunku tresera. Nie wiem co taki mały herbatnik znaczy dla takiego dużego słonia, ale widocznie coś znaczy, bo po każdym ćwiczeniu trąba wędruje do ręki opiekuna. Kiedy India ćwiczy, Magda wydaje pomruki niezadowolenia. Ona też chce się pogimnastykować za łapówkę.

4

Podrasta już tegoroczny przychówek. Doglądają potomstwa pumy, lamy, szopy, kozy, owce, bizony, wylęgły się trzy małe strusie emu, te najdłużej przebywały pod opieką ojca w zamkniętym pomieszczeniu, obawiano się dla nich chłodu „trzech ogrodników". Nic dziwnego, cenny dewizowy przychówek. Jak co roku, o tej porze myśli się o zakupach. Łódzkie ZOO zamierza w tym roku zakupić młode lwy, które uzupełnią piękny i tak zestaw kotowatych, planuje się też skompletowanie kolekcji wielbłądowatych, przede wszystkim i wigunię. Powinna dostać partnera tapir — samica, samej jest bardzo smutno.

No i ciągle aktualna sprawa żyrafy. Katowice mają trzy, Poznań i Wrocław po dwie, nawet Płock będzie miał w najbliższym czasie. Warszawie ufundowały żyrafę dzieci z drobnych składek. A łódzkie ZOO wciąż jej nie ma. Nie jest to nawet sprawa zakupu, tylko budowy pomieszczenia. Wysokość tego pięknego zwierzęcia dochodzi do siedmiu metrów, karmi się je z drabiny, potrzebne jest więc specjalne locum, Ale warto chyba taką inwestycję podjąć.

Pełne kolekcje i przychówki to nie tylko sprawa ambicji ekspozycyjnych łódzkiego ZOO. Ogrody zoologiczne, także nasz, spełniają coraz szerzej funkcje naukowe. Katedry i zakłady Uniwersytetu, szkoły rolnicze coraz częściej przysyłają tu studentów dla opracowania pewnych problemów, dla przygotowania prac naukowych. Pełny zestaw danego gatunku, możność badania cyklu rozwojowego na najmłodszych okazach jest więc sprawą przydatności naukowej ogrodu.

5

Przy wyjściu natrafiam na scysję w sprawie psa. Jakaś pani nie może zrozumieć, że jej pieskowi nie wolno wejść tam gdzie już i tak jest tyle innych zwierząt. A to właśnie dlatego. Ale właściciele psów to szczególny rodzaj ludzi. Można się było o tym przekonać na ostatniej Międzynarodowej Wystawie Psów Rasowych, którą miała zaszczyt i honor gościć Łódź. Była to wystawa-gigant, wystawa-maraton, było tam podobno 1.200 psów i chyba ze 120 tysięcy ludzi, w związku z czym trudno się było tych psów dopatrzeć. Nie mam żadnego doświadczenia w organizowaniu wystaw psów, nie umiem więc nawet powiedzieć czy była to wystawa dobrze czy źle zorganizowana. Wiem tylko, że przed południem zostałam wessana na stadion przez wchodzący tłum, a po trzech godzinach — przez podobny tylko większy tłum - wypluta. Nie wiem czy ludzie tak kochają psy czy też chcieli zobaczyć księżnę Monaco, w każdym razie rzadko widuje się u nas takie zgromadzenie.

Psy też były w nie najlepszej sytuacji. Zgrzane, zmęczone, zdenerwowane mierzeniem, ważeniem zaglądaniem do pyska, albo protestowały czynnie przeciw tym praktykom, albo popadały w całkowitą apatię — zależnie od temperamentu. Emocje i podniecenie przeżywali tylko właściciele, a szczególnie właścicielki, które na tle psów, pobrzękując ich medalami, starały się wypaść jak najefektowniej.

Psy były przeróżne, piękne i brzydkie, ale zawsze bardzo rasowe, albowiem byle kto na ten stadion wstępu nie miał. Mimo międzynarodowego charakteru był reprezentowany i folklor oraz barwy narodowe pod hasłem: psy polskie. Są to ogary, które znamy głównie z „Popiołów" oraz owczarki nizinne i owczarki podhalańskie. Te ostatnie przyjechały z bacami i odnosiły się bardzo nieżyczliwie do swoich braci hodowanych w Łodzi. Może zresztą było odwrotnie, może to łódzkie były niegościnne.

A w ogóle nie powinnam zabierać głosu na temat tej wystawy, bo uważam, że właściciel ma kochać swojego psa bezinteresownie, niezależnie od tego czy jest to champion czy zwykły mezalians. Albowiem z psem jest tak jak z mężczyzną, grunt, żeby był sympatyczny, uroda nieważna.

---

ROBERT GLUTH

# Lekarzu lecz się sam

1.

Pewien dzień lipcowy ubiegłego roku. Upał niezmierny. W jednej z przychodni typu ogólnego lekarka rozpoczyna pracę w godzinach popołudniowych. Gdy przyszła — zziajana i spocona — czekało na nią 35 kart pacjentów do przyjęcia. Lekarka miała już za sobą kilka godzin pracy w szpitalu. Pacjenci wchodzili, rozbierali się posłusznie, wielu było chorych poważnie — wymagało drobiazgowych oględzin, kierowania do specjalisty... Przedostatnia weszła potężna jejmość i na stereotypowe pytanie „co pani dolega" odparła: „tak mnie bardzo kłuło w boku, co to może być, pani doktor?" Lekarka słucha, puka, zadaje pytań bez liku, czas mija, diagnozy nie ma. Wreszcie: „czy panią tak często kłuje?" „O, nie — odpowiada skwapliwie pacjentka — tylko ten jeden raz, chyba dwa tygodnie temu, ale sąsiadka..."

Urzędnik w podobnym momencie zacząłby krzyczeć na petenta, że kpiny sobie urządza z instytucji państwowej itd. Lekarzowi krzyczeć nie wolno, musi być spokojny, wyrozumiały, przełknąć gorzką pigułę z uśmiechem, doradzić, przekonać wrażliwego hipochondryka. Jest przecież trybikiem w skomplikowanym systemie relacji społecznych. Czasami trybikiem zmaltretowanym do ostatnich granic.

W naszym kraju — a więc i w mieście — pewne grupy zawodowe legitymują się na zewnątrz daleko posuniętą solidarnością profesjonalną. W istocie zaś przedstawiają struktury głęboko zróżnicowane pod wszystkimi względami. Co łączy — powiedzmy — rejonowego lekarza chorób wewnętrznych posiadającego specjalizację zawodową ze specjalistą ginekologiem prowadzącym szeroką praktykę prywatną? W sensie finansowym, towarzyskim, w opinii społecznej wszystko ich dzieli, a ta przepaść jest niezmierna. Więc łączy ich tylko stopień służbowy przez grzeczność i tradycję zmieniany na „doktor" oraz — w najlepszym wypadku — kilka winiaków wypitych wspólnie, co 10 lat, na zjeździe absolwentów jednej z krajowych akademii medycznych.

A co łączy szeregowego lekarza pogotowia z ordynatorem szpitala klinicznego? W sensie autorytetu i wiedzy jest to relacja pomiędzy marynarzem i kapitanem — chociaż ci ludzie nigdy nie służyli i nie służą na jednym „okręcie". Praktycznie środowisko lekarskie przedstawia dwie gigantyczne piramidy — jedną w zakresie zarobku, drugą w dziedzinie autorytetu. Co ciekawsze, szczyty „piramid" wcale się nie pokrywają: jedną wieńczą „prywatni" specjaliści niektórych bardziej dyskretnych gałęzi wiedzy medycznej, drugą zaś wybitni profesorowie akademii medycznych, traktujący w wielu wypadkach wszystkie swoje katedry i zakłady jako wartość nienaruszalną, imiennie im przypisaną i dożywotnią (nb. nawet kosztem postępu wiedzy i losów młodych, zdolnych kadr naukowych). Nie ma w Polsce bardziej skostniałego schematu, niż świat lekarski widziany od wewnątrz.

2.

W tej części pragnę przedstawić — w syntetycznym skrócie — stanowisko moich rozmówców ze świata lekarskiego, dotyczące następujących tematów:

1) jak się czuję w zawodzie,

2) jakie sprawy uważam za szczególnie negatywne,

3) jak mnie ocenia społeczeństwo,

4) jaki jest mój stosunek do praktyki prywatnej.

Znamy lekarza łódzkiego, który udaje, że ma czas na wszystko, ale takiego spotkałem jednego tylko — a i on mówił nieprawdę. W istocie lekarz szczebla przeciętnego — rejonowy, specjalista z przychodni obwodowej, bądź lekarz szpitalny — chcąc osiągnąć standard bytowy lepszy i widząc, że ma takie możliwości, tyra niemal od rana do nocy, dorabia sobie w przychodniach fabrycznych, ogólnie dostępnych itd. Zadowolenie z wykonywanego zawodu wypływa w gruncie rzeczy z czterech przyczyn: mamy tu do czynienia z przesłankami humanitarnymi, z pasją zawodową, która na lata osadziła człowieka w ciekawym środowisku, z istniejącą szansą awansu poprzez dalszą specjalizację i z ogromnym nakładem własnych „kosztów psychicznych" jakie wiązały się ze zdobyciem i opanowaniem zawodu. Prawdę powiedziawszy, dochodzą czynniki podświadome — i to, że lekarz praktycznie do żadnego innego fachu się nie nadaje i przekazana tradycją społeczną ranga „pana doktora". Przeciętny lekarz z pokolenia, które w tej chwili ma lat czterdzieści lub niewiele mniej — wyniósł z uczelni jeszcze pewien ideał społecznictwa, aktywnego uczestniczenia w szeroko pojętej rewolucji obyczajowej, światopoglądowej, naukowej. Ale lekarz jest także czuły na objawy sympatii i wdzięczności; w stosunku do pacjenta pozostaje zawsze, na każdym szczeblu owym legendarnym „pierwszym po Bogu", ostatnią deską ratunku. Nawet pełni sarkazmu czy ironii moi rozmówcy nie zamieniliby swojego zawodu na żaden inny.

O swojej randze w społeczeństwie mówią różnie, częstokroć z przekąsem. Wypowiadano też opinie moim zdaniem bardzo głębokie: „gdyby społeczna służba zdrowia była w jakimś stopniu odpłatna, to nie istniałoby pojęcie społecznej dewaluacji tej służby". W rzeczywistości bowiem pacjenci dzielą się na trzy grupy: na tych, którzy istotnie potrzebują pomocy, tych przychodzących wyłącznie po zwolnienie chorobowe oraz na sporą grupę „pacjentów dla rozrywki". (Zjawisko, że ktoś „lubi się leczyć" zostało już opisane w dziesiątkach prac z różnych dziedzin wiedzy). Temu wszystkiemu — zdaniem lekarzy — towarzyszy niefrasobliwy stosunek do zagadnień lecznictwa: „należy się, więc korzystam". Problem oczywiście w największym nasileniu występuje w miastach i to niefrasobliwe wykorzystanie „darmochy" rodzi szereg nie-

ADAM LEWASZKIEWICZ

# TRYPTYK o miłości

## OBRAZ I

czyli

### PORWANIE NARZECZONEJ

Po bokach ciemne okna czynszowych kamienic. Perspektywa pustej ulicy. Szarosine światło rzędu rtęciówek. W dali sunący tramwaj z nielicznymi pasażerami. Bliżej jasno oświetlony zamknięty kiosk. Wielobarwne neony. Śródmieście wielkiego miasta. Cisza. Noc.

Bose stopy dosięgły już bruku podwórza. Mocne, męskie ramiona. Drży cała z zimna i przejęcia. Szybciej. Nogi zaplątały się w linę. W oknie na drugim piętrze zapalają się światła. Trzask otwieranych drzwi, tupot nóg po korytarzu. I krzyk matki: — Baśka, wróć! Wracaj! Ratunku!

Wybiegli na ulicę. Trzask drzwiczek samochodu. Warkot silnika. Już nie słychać nawet krzyku matki.

Ona miała 18 lat, on 21. Kochali się. Były długie spacery w mrocznej, parkowej alejce, wycieczki za miasto, gryzący dym kawiarni i razem przeżywane tragedie filmowe. Któregoś dnia wszystko nagle skończyło się. Jak nożem uciął. — Pierw zdasz maturę — a potem będzie chłopak — zawyrokowała matka. Ba, żeby tylko powiedziała, ale rodzicielka zamieniła się w anioła stróża. Przychodziła pod szkołę, odprowadzała do koleżanek, chodziła z córką do kina.

Wystawał przed kamienicą, gapił się w okno drugiego piętra jak sroka w gnat. Pędziła go precz matka sympatii, przeganiali robotnicy remontujący kamienicę. Okno na drugim piętrze wciąż było puste. Pod dach szybował pojemnik z wapnem. Z okna drugiego piętra leciały kawałki jego listu podartego przez groźnego cenzora — matkę.

W nim rodził się plan. Na jego lakoniczny gryps „Dziś w nocy Cię porwę", odpowiedziała — „Dobrze". Czy wierzyła w porwanie? Trudno odpowiedzieć, ale chyba tak, bo tej nocy nie spała. Sprawa nie była prosta. Porwanie via drzwi nie wchodziło w rachubę. Drzwi na noc zamykano. Pozostawało tylko okno. Okno na drugim piętrze. Miłość — mówi porzekadło — cuda czyni. Chłopak skorzystał z bloku, którym wciągano do remontowanych mieszkań wiadra z wapnem. Przy blasku księżyca wciągnął się po linie do okien mieszkania wybranej i przy pomocy uczynnego kolegi asekurującego jego karkołomne wyczyny — sprowadził symbatię na ziemię.

Tak odbyło się ostatnie już chyba w Rzeczypospolitej porwanie narzeczonej. W tej romantycznej historii nie zabrakło pogoni. Były również konie — w tym może szkopuł, że mechaniczne. Ale były.

Romantyczna historia ma niestety i ciąg dalszy, a kończy się niespodzianką dla czytelnika liczącego na cukierkowatą opowieść. Rodzina nie dała za wygraną. Dość prędko ustalono adres pod którym „więziona" była córka. Mama nawet co jakiś czas odwiedzała mieszkanie porywcza i to w towarzystwie milicji, ale „zbrodzień" zawsze w porę narzeczoną ukrywał.

Sielanka nie trwała długo. Gdzieś po 6 miesiącach Barbara wróciła do rodziców. Zawsze jednak towarzyszyły jej uczucia jej chłopca — „porywacza" Michała K. Miłość to znaczy również zazdrość. Michał K. był zazdrosny. Kontrolował ją, zaglądał do torebek. Potrafił to robić wtedy, gdy najmniej się tego spodziewała. Któregoś wrześniowego dnia, gdy szła do domu ul. Andrzeja Struga, przy krawężniku zatrzymał się samochód. Ktoś wyrwał jej torbę z ręki. Był to narzeczony. Rewizja dała znów powód do zazdrości, z kalendarzyka wypadło bowiem 30 fotografii. Dowody zainteresowania i miłości zmęczyły Barbarę. Znalazła nawet spowiednika. Nie w sutannie ale w todze. Prokuratora. On z urzędu wziął ją w obronę przed natarczywością Michała K. Za przestępstwo z artykułu 250 KK, za grożenie Barbarze uszkodzeniem ciała i kradzież kalendarzyka, listów i zdjęć z torebki, sąd wymierzył oskarżonemu Michałowi K. 3 miesiące więzienia z zawieszeniem na 2 lata.

Karę można zawiesić miłości niestety nie. Może to lepiej, bo Barbara i Michał wyszli z sądu razem. Nawet niósł jej torebkę (tym, którzy wątpią w autentyczność tej historii podaję sygnaturę akt: — Sąd Powiatowy dla m. Łodzi VII 44/67/.

## OBRAZ II

czyli

### UCIECZKA OBLUBIEŃCA

Pokój. Pośrodku długi zastawiony stół. Na śnieżnobiałym obrusie talerze, talerzyki i półmiski. Wędliny, galaretki, stosy kanapek. Rzędy kieliszków, równo poustawiane butelki wina, wódki, oranżady. Krzesła przysunięte do stołu. Pusto. W rogu pokoju na krześle kobieta ubrana w białą suknię. Na podłodze leży wiązanka białych goździków. Kobieta w bieli płacze. Za uchylonymi drzwiami pokoju kilka głów. Wstępu do pokoju broni starsza kobieta.

I Wydział Cywilny Sądu Powiatowego w Łodzi

Wartość przedmiotu sporu 12.420

Agnieszka M.
zam. Łódź, ul. Kilińskiego
przeciwko
Janowi K.
zam. Łódź, ul. Bielańska

### POZEW O NIEDOTRZYMANIE UMOWY

Uprzejmie wnoszę:

1) o zasądzenie od pozwanego Jana K. kwoty 12.420 zł tytułem zwrotu poniesionych kosztów związanych z zawartą umową małżeństwa i poczynionymi w związku z tym wydatkami w powyższej kwocie, z 8 procentami od dnia wniesienia pozwu;

2) o zasądzenie od pozwanego kosztów procesu według norm przewidzianych;

3) o rozpatrzenie sprawy także pod nieobecność powódki;

4) o wydanie wyroku zaocznego w razie niestawienia się pozwanego na rozprawę lub niebranie w niej udziału;

5) o wezwanie na rozprawę i przesłuchanie w charakterze świadków: a) Zygmunta M., b) Zofię M., c) Genowefę L., d) Leonarda B.

#### Uzasadnienie

Powódka i pozwany poznali się w pociągu, we wrześniu 1968 roku. Od tego czasu spotykali się często, chodzili do kina, na zabawy, do parku. Ułożyli się, że w styczniu 1969 r. zawrą związek małżeński o czym poinformowali rodziców. Mimo iż pozwany ma 23 lata jego zawód (kierowca I kategorii) oraz dobra opinia przemawiały za tym, że jest w stanie utrzymać rodzinę. Powód i powódka zgłosili się do Urzędu Stanu Cywilnego, gdzie ustalono termin ślubu. Pozwany nadto zamówił na dzień 1 stycznia 1969 r. taksówkę nr ..... (świadek Leonard B.)

Jednakże w dniu ślubu pozwany nie stawił się o umówionej godzinie, nie wyjaśnił również przyczyn swojej nieobecności do dziś. Powódka poniosła następujące straty przygotowując się do ślubu i urządzając przyjęcie ślubne na 40 osób:

| | |
|---|---|
| obrączki ślubne | 1800 zł |
| suknia ślubna i welon | 2500 „ |
| wiązanka kwiatów | 300 „ |
| druk 100 zaproszeń na uroczystość ślubną | 250 „ |
| taksówka | 500 „ |
| 30 butelek 0,5 l wódki „Eksportowej" po 75 zł | 2250 „ |
| 10 butelek wina „Riesling" | 440 „ |
| 10 butelek miodu pitnego „Królewskiego" | 450 „ |
| 25 butelek piwa „Radeberger" | 125 „ |
| 100 butelek wody sodowej | 100 „ |
| 3 torty po 150 zł | 450 „ |
| 5 kg szynki konser. | 550 „ |
| 5 kg białej kiełbasy | 250 „ |
| 10 kg schabu | 560 „ |
| 2 kg polędwicy | 220 „ |
| 2 kg baleronu | 164 „ |
| 10 kg kiełbasy zwykłej | 440 „ |
| 20 kurczaków | 1235 „ |
| 10 pudełek sardynek | 200 „ |
| 10 kg ciasta | |
| 1 kg kawy | 250 „ |
| 10 pudełek herbaty „Yunan" | 90 „ |
| 3 kg pieczarek | 180 „ |
| 5 pudełek szprotów po 17 zł | 85 „ |
| 30 jaj | 81 „ |
| 3 słoiki ogórków konserwowych | 48 „ |
| 5 kg śledzi po 22,50 | 110 „ |
| 5 bochenków chleba a 13.20 | 66 „ |
| 20 angielek a 4 zł | 80 „ |
| 3 słoiki grzybków w occie | 150 „ |
| Razem | 12.420 zł |

Zaproszeni na uroczystość weselną goście skonsumowali znaczną część zakupionych prowiantów.

Obok wyliczonych konkretnych strat materialnych i krzywdy moralnej powódka doznała urazu psychicznego.

## OBRAZ III

czyli

### ROZWÓD

Nowoczesny blok. Kolorowe ściany. Słońce odbijające się w tysiącach szyb. Równe grządki czerwonych kwiatów pośród zielonych trawników. Dzieci bawiące się w piaskownicy. Starsi siedzą na ławkach. Wszystkie głowy zwrócone w jeden punkt. Patrzą w okno na parterze — jakby tam właśnie wydarzyło się coś interesującego.

— Siedziałam tego dnia na ławce przed domem. Pilnowałam wnuczka. Nagle z mieszkania państwa K. usłyszałam straszny przeraźliwy krzyk: — „Milicja Ratunku! Milicja!" Pobiegliśmy tam wszyscy. Ktoś wezwał pogotowie milicyjne, bośmy myśleli, proszę wysokiego sądu, że tam stało się coś strasznego. I rzeczywiście bili się i szamotali i wszystko tłukli. Uspokoiła ich milicja.

— Wzięliśmy ślub w czerwcu 1956 r. Żonę poznałem na imieninach u znajomego. W tym czasie pracowałem jako główny inżynier. Zarabiałem nieźle. Z zakładów dostałem mieszkanie. Kupiłem meble, radio, telewizor. Żona przyniosła swoje rzeczy do mieszkania w walizce. Z racji pełnionej funkcji muszę często wyjeżdżać do zakładów, z którymi kooperujemy. Kiedyś wróciłem wcześniej i zastałem w nocy, w swoim mieszkaniu gacha. Postanowiliśmy wziąć rozwód. Ale wtedy żona wystąpiła o podział majątku. To było oburzające, bo nie dość, że ta kobieta okradła mnie z uczuć, to również chciała mnie okraść z połowy moich rzeczy. Mój adwokat mówił, że zgodnie z przepisami ma prawo do połowy majątku. Do połowy mojego mieszkania, radia, telewizora...

— To było tak, proszę wysokiego sądu, wróciłam z pracy, bo od wniesienia pozwu rozwodowego pracuję. Otwieram drzwi, stoi w nich uśmiechnięty mąż. Mówi: dzień dobry i pyta: — którą chcesz połowę lewą czy prawą. Patrzę, a za nim, proszę wysokiego sądu, leżą rzeczy. Na dwóch kupkach. Wszystko zniszczone, przecięte na pół. Moje futro, krzesła, stół, regał: Wszystko, nawet radio. Co się działo potem nie pamiętam...

* * *

Oto tryptyk o miłości. Miłości wielkiej, miłości zwiędłej i miłości zmienionej w nienawiść. Codzienność miesza się tu z niezwykłością wymyśloną przez najgenialniejszego reżysera — życie. Na brudnych czerwonych i zniszczonych obwolutach akt sędzia umieścił adnotację: „Przechować przez 20 lat a następnie rozpruć i przekazać na makulaturę". Tak zginie ślad po ostatnim w Rzeczypospolitej porwaniu, ulegnie zniszczeniu historia jednej z częstych ucieczek tuż przed ślubem, na makulaturę trafi historia współczesnego Salomona, któremu rozpacz kazała dzielić majątek sprawiedliwie. Tak zginie przyczynek do obyczajowości naszego wieku.

**W NASTĘPNYM NUMERZE „ODGŁOSÓW":**

- ★ **JUBILEUSZ BEZ FANFAR — Mieczysława Woźniakowskiego**
- ★ **BLASKI I CIENIE HISTORII POLSKI — Bohdana Baranowskiego**
- ★ **KALISKIE SPOTKANIA TEATRALNE — Stanisława Kaszyńskiego**
- ★ **NASI DELEGACI**
- ★ **ŁKS-owa DYSKUSJA**
- ★ **NOWELA KRYMINALNA pt. „Węch"**

---

potrzebnych konfliktów społecznych, sztuczny tłok w poradniach itd. Lekarz stał się dla wielu pacjentów jakimś ni to urzędnikiem, ni to rzemieślnikiem, którego obliguje jakowyś „psi obowiązek". Cierpi na tym w pierwszym rzędzie grupa pacjentów wymagających istotnej pomocy, na którą czasu już nie starcza, cierpi również lekarz, który też jest człowiekiem.

Mały przykład z rejonowych i przyzakładowych przychodni: W pewnych okresach nasila się modna polska choroba — zapalenie korzonków nerwowych. Jeśli lekarz wchodzi do poradni i oczekuje tam na niego 11 „korzonkowców", a w tym 5 absolutnych symulantów, to jedenasty — istotnie chory — spotka się już z nieufnością, bo prawa psychologii zjawisk częstotliwych są nieubłagane.

O biurokracji w służbie zdrowia pisano już latami. Pozwoliłem sobie dokonać fotografii dnia pracy lekarza szpitalnego, obciążonego opieką nad 13 „łóżkami". Gdy ów człowiek ma w jednym dniu parę wypisów i jakieś przyjęcie pacjenta, to może zająć się efektywnie chorymi jedynie przez dwie, najwyżej trzy godziny. Wyobrażenie o tym jak bardzo jesteśmy zacofani w dziedzinie sprawozdawczości o chorym wypisywanym lub przyjmowanym do szpitala, dają standardowe dokumenty dotyczące tych spraw. Lekarz musi nanosić na nie wyciągi z kart choroby, arkuszy badań, dane personalne i wiele innych rzeczy, które powinny należeć do wykwalifikowanej siły biurowej. Pracownik służby zdrowia na stanowisku lekarza powinien być odpowiedzialny za wypełnienie jednej rubryki: „wskazówki do dalszego leczenia" (przy wypisie). Widok absolwenta akademii medycznej, posiadającego wieloletni staż zawodowy, ślęczącego nad mechanicznym wystukiwaniem historii choroby z kart i karteluszków — jest w istocie żałosny. Nie należy chyba dodawać, że przy parominutowym przyjęciu pacjenta w poradni, ordynujący lekarz więcej czasu poświęca pisaniu, niż terapii.

Sprawa odpowiedzialności lekarzy za uchybienia przeciwko etyce zawodowej, prawu i normom społecznym jest odrębnym rozdziałem życia polskiego medykusa. Wiadomo na przykład, że na terenie Łodzi wykryto fakt przyjęcia do szpitala zdrowego kryminalisty w celu odroczenia wyroku; wiadomo również, że istnieją czasami bardzo poważne zaniedbania lub błędy w sztuce leczenia. Do tych wszystkich spraw jednakże należy podchodzić w sposób indywidualny, nie generalizując środowiska, nie traktując lekarzy jak w swoim czasie traktowano ekspedientki w sklepach z mięsem. Truizmem jest twierdzenie, że w każdej grupie ludzkiej znajdzie się parszywa owca — ale medycyna ma to do siebie, że jest i powinna być wiedzą ekskluzywną, w interesie samych chorych. Dlatego każda komisja badająca podobne sprawy, każdy organ ścigania musi oprzeć się w swoim postępowaniu na źródłowej wiedzy wybitnych fachowców lekarzy. I należy chyba starać się skończyć z jakąś niezdrową ekscytacją publiczną, z mglistym rozważaniem bliżej nieznanych instrumentów zaszytych podobno w brzuchu anonimowego pacjenta.

Jak mnie ocenia społeczeństwo? Z odpowiedziami było różnie. Lekarzy cechuje — jak wiadomo — duża doza krytycyzmu w każdej rozmowie (to taka skaza zawodowa). Ogólnie stwierdza się jedno: w społecznym odczuciu lekarz jest zawsze czymś innym, w zależności od tego, z jakiej grupy społecznej pacjent się wywodzi. Na pewno jednak każdy przykrawa jakoś jego „model wewnętrzny" do własnych zalet i niedostatków. Żeby rzecz całą jaśniej wytłumaczyć, posłużę się nader prawdziwą anegdotą:

Do pewnego szpitala przywieziono ciężko chorego, który znalazł się na oddziale lekarki wyjątkowo ambitnej. Ta ze swej strony zrobiła istotnie wszystko, aby chory powrócił do zdrowia. Gdy już był rekonwalescentem, przyniosła mu żona opakowane kwiaty, które wręczył pani doktor. Jakież było zdziwienie lekarki gdy w bukiecie goździków znalazła kopertę zawierającą tysiąc złotych. Poleciła natychmiast ów dodatkowy dar przekazać choremu przez pielęgniarkę. Pacjent po powrocie do zdrowia, opuszczając szpital, nawet słowem nie podziękował swojej opiekunce. Lekarka nie była zdziwiona. W umysłach wielu ludzi — powiada — panuje przekonanie, że lekarz, który nie bierze pieniędzy „na fuchę", ten źle leczy.

Więc jesteśmy przy ostatnim problemie, przy popularnym — szczególnie po dyskusji na łamach „Polityki" — zagadnieniu praktyki prywatnej. Zdania jak zawsze są podzielone, ale podstawowe wnioski dają się jednak uogólnić, a co więcej następuje tutaj synchronizacja poglądów służby zdrowia i pacjentów: praktyka prywatna w obecnej sytuacji jest konieczna z wielu przyczyn. Konieczność ta jednak dotyczy tylko niektórych gałęzi wiedzy medycznej. Nie sposób, dajmy na to, mówić o praktyce prywatnej na większą skalę wśród internistów, kardiologów, endokrynologów — ponieważ szczegółowość badań i ich różnorodność wyklucza skupienie całego mechanizmu poznawania procesów chorobowych w jednym ręku (aparatura, badania dodatkowe itp.).

Absurdalna jest siłą rzeczy praktyka prywatna chirurgów bądź ftyzjatrów w naszych warunkach ustrojowych. Natomiast są pewne dziedziny życia, które wymagają dyskretnego kontaktu lekarz-pacjent bez wtajemniczania osób postronnych, a taką dyskrecję zapewnia najlepiej kontakt prywatny. Nie jest tajemnicą, że specjalistów w zakresie chorób skórno-wenerycznych, posiadających praktyki prywatne popiera się właśnie z tych racjonalnych przyczyn i czynią to wszystkie władze naszego kraju. Również ginekologia, a w pewnych wypadkach psychiatria, bądź nie istniejąca jeszcze na terenie naszego kraju seksuologia, korzystać powinny długo z przywileju prywatnej praktyki — za którym to przywilejem jednak winny postępować określone świadczenia wobec państwa. Przecież jawny paradoks podatkowy, wyrażający się w priorytecie praktyk prywatnych nad spółdzielczością lekarską, nie ma racji bytu. Z całym naciskiem wszyscy moi rozmówcy stwierdzali jedno: w żadnym wypadku nie może posiadać uprawnień do praktyki prywatnej lekarz, który pełni funkcje administracyjne, bądź kierownicze w placówkach państwowej służby zdrowia. Takie przypadki istnieją i powinny być likwidowane z wielu przyczyn: ideowych, wzajemnoludzkich, a nawet prawnych.

ANTONI SZRAM

# Henryk Płóciennik

Urodził się w 1933 r. w rodzinie robotniczej. Teraz, z perspektywy tych trzydziestu paru lat jego sukcesy wydają mu się czymś zwyczajnym. Nie ukończył żadnej szkoły, zawsze gorączkowo szukał jakiegoś zajęcia, czekając na podwyżkę honorariów. Nie tak dawno, bo na dorocznej wystawie Okręgu Łódzkiego ZPAP, otrzymał medal za swoje prace graficzne. Żyje wśród bohemy i — jak powiadają niektórzy nieprzychylni mu koledzy — chyba cudem spotykają go te wszystkie wyróżnienia. To nieprawda. Przyznaje jednak, że z ogromną radością uwolnił się wreszcie od wszelkich ubocznych zajęć, aby związać się nareszcie ze „sztuką czystą". Pracuje tedy ze zdwojonym entuzjazmem, nie chcąc dać się nabrać na bluff, ulec spekulacji, czy snobizmowi.

Liceum, jako się rzekło, nie ukończył. Zachorował, był w sanatorium. Kiedy wrócił, przestał się uczyć. Rodzicom było ciężko, mało zarabiali, a starszy brat studiował na warszawskiej Politechnice. Matka krytykowała zamiłowania młodszego syna do rysunków, toteż jego marzenia, aby pójść do technikum plastycznego, ucięto krótko: liceum — albo praca. „Zostań inżynierem, lekarzem, ale nie malarzem!"

Pewnego dnia matka znalazła u niego teczkę pełną rysunków i wielce oburzona rzuciła w piec. Długo nie mógł jej tego wybaczyć. Ale ze szkołą plastyczną musiał się pożegnać na zawsze. Wola matczyna wzbudziła w nim przekorę. Postanowił zostać sławnym artystą tak, czy owak.

1

Pierwszy kontakt z prawdziwą sztuką. Dostał posadę woźnego w Muzeum Sztuki. To był rok 1953. Płóciennik zarabia 450 zł miesięcznie. Na II piętrze był pokoik dla personelu Muzeum. Tam właśnie najchętniej przesiadywał — kopiował obrazy starych mistrzów i rzeźby.

Dyrektor Minich wchodził cichutko, bezszelestnie, zaglądał przez ramię na płóciennikowe gryzmoły. Kiedyś warknął: „Rysujesz dobrze, ale nie na temat!" — „Dlaczego" — „Bo twoja robota to pilnowanie obiektów — dozorstwo".

2

Po pracy Henryk grywa w siatkówkę, chodzi do klubu sportowego. Tu poznał również namiętnego siatkarza — plastyka Jurka Morgę, grają w jednej drużynie. A Morga był wtedy kierownikiem pracowni plastycznej przy Spółdzielni Usług Teatralnych — „Inscenizacja". Kiedyś pogadali: „Co pan robi?" — „Pracuję w Muzeum

*Fot. A. Wach*

Sztuki". „Za ile?" — „450 złotych miesięcznie". To rzeczywiście mało. Wie pan co? Niech pan wpadnie do naszej „parafii" malarskiej na Piotrkowską. Znajdzie się chyba jakaś robota.

Po incydentach z dyrektorem Płóciennik nie miał wiele do stracenia. Tym bardziej, że nareszcie otwierały się przed nim perspektywy wymarzonej pracy. Poszedł. Czekał pod drzwiami. Morga wyszedł zły. „Nie ma pracy. Jest tylko jakieś tam pół etatu, ale tylko osiem i pół stówy". — Ależ biorę! Bracie, to już jest forsa!" I tak został pracownikiem spółdzielni „Inscenizacja". Najpierw zlecono mu wypisanie 14 tysięcy karteczek-reklamówek. Nazwa artykułu i cena. Kawa. Ryż. Cukier. Litery łączyło się różnymi konfiguracjami i jakoś się zgadzało. Teraz Henryk murem tkwi nad stołem, codziennie — od ósmej do czwartej po południu. Praca akordowa. Potem nieprzytomny i zezowaty ze zmęczenia wychodzi do miasta...

3

Kiedy w Zarządzie Miejskim TPP-R zwolniło się pół etatu dla dekoratora-plastyka, Henryk żwawo podskoczył — dostał tę pracę (już za 980 zł) a na dodatek pracownię do swojej dyspozycji. Sukces! Wykonuje teraz gazetki okolicznościowe i wszystkie inne podręczne prace plastyczne.

Tym razem przyszła pasja tematów jazzowych. Była to droga wątpliwości, szukania, błądzenia. Olbrzymie płótna rozdaje potem znajomym. Jest stałym bywalcem Klubu Jazzowego. Ktoś mu poradził, aby zrobił wystawę tych zmysłowych obrazów, zapełnionych przez silne ludzkie sylwetki. Był w nich erotyzm i owa jazzowa drapieżność, ekspresja. Nie pomyślał dotąd o takiej możliwości. Myśl o wystawie już go nie odstępowała, wyzwoliła nowe ambicje. I znowu przypadek. W Klubie Międzynarodowej Prasy i Książki zachorował poważnie tamtejszy plastyk — dekorator, a była pilna robota. Więc porozumiawszy się z TPP-R kierownictwo „Empiku" zleciło tę pracę Płóciennikowi. Robotę oddał w bardzo krótkim czasie i naprawdę dobrze ją zrobił. Zachwycony kierownik MPiK zapragnął zatrzymać go na stałe.

Tak więc rozpoczął następną pracę — druga własna pracownia i otwarta droga do kariery. No, i tysiąc dwieście złotych miesięcznie. Maluje teraz całą parą — marzenie o wystawie nabiera coraz bardziej realnych kształtów. I wreszcie, było to w 1958 r. rozentuzjazmowany i potwornie zdenerwowany Henryk pokazuje po raz pierwszy publicznie swoje prace. Oczywiście w Klubie MPiK. To był cykl „Jazz i kobieta". Piękna sugestia plastyczna, bezbłędne przemieszanie kolorów — bieli i czerni, rytm linii, rytm narracji.

4

Po roku — następna wystawa, rysunków. W 1962 r. — monotypii. Obie w Klubie MPiK.

Monotypie obejrzał Leszek Rózga, mocno zaintrygowany, kim jest ten nieznany mu grafik prezentujący tak oryginalne prace. Kiedy dowiedział się, że to łodzianin, samouk — z początku nie uwierzył, potem powiedział tylko Płóciennikowi: „Niech pan szybko leci po formularze, trzeba pana natychmiast zapisać do Związku!" W sekretariacie ZO ZPAP wypełnił Płóciennik wskazane rubryczki. Miał już podpisy dwu wprowadzających: Leszka Rózgi i Konstantego Mackiewicza, z którym jeszcze wcześniej zawarł przyjaźń. Ten szalenie w Łodzi popularny artysta i gawędziarz szczerze zainteresował się Henrykiem. Leszek Rózga na posiedzeniu Zarządu załatwił, że Henryk będzie korzystał z Usług Doświadczalnej Pracowni Graficznej. Co za możliwości! Ma teraz wszystko — maszyny do powielania, matryce, farby drukarskie... drukarnię.

I oto czeka na przyjęcie go do ZWIĄZKU POLSKICH ARTYSTÓW PLASTYKÓW. Po skończonych obradach pierwszy wyszedł profesor Fijałkowski. — „Jak tam z moim przyjęciem, panie profesorze?" — „Pana nazwisko?" — „Płóciennik. Henryk Płóciennik". „Aaa, Płóciennik? Znakomite prace, bardzo dobre. Pan ma tęgi talent! Gratuluję, oczywiście, że jest pan przyjęty!"

5

W ogóle rok 1963 okazał się dla Płóciennika szczególnie pomyślny. Dostał się do ZPAP, a w pierwszym okręgowym konkursie na grafikę technik szlachetnych zdobył II nagrodę ex equo z Benonem Liberskim. Ponadto — dwie trzecie nagrody i wyróżnienie za malarstwo.

Wkrótce — inny konkurs, tym razem ogólnopolski, na techniki szlachetne, pod nazwą „Od Ikara do kosmosu" (Malbork 1963). I tym razem III nagroda — pierwsze wyróżnienie w skali krajowej. Rok 1964 — Ogólnopolski Konkurs Marynistyczny — II nagroda. (I otrzymała wtedy Halina Chrostowska, a Rózga dostał wyróżnienie).

W tym samym roku następny konkurs graficzny: „Człowiek i jego praca w Polsce Ludowej". Nadeszło 360 prac z całego kraju. Płóciennik jako jedyny przedstawiciel łódzkiego środowiska plastycznego znalazł się w grupie laureatów — II nagroda. Potem już całe pasmo sukcesów. Zaproszenia do udziału w wielu ciekawych wystawach, nawet do Lugano w Szwajcarii.

W rok później zaproszono Płóciennika do wzięcia udziału w pracach jury Ogólnopolskiej Wystawy Młodej Grafiki w Poznaniu.

W tymże roku otrzymuje Płóciennik roczne stypendium Ministerstwa Kultury i Sztuki. Może już spokojnie przygotowywać nowe klisze na zbliżające się wystawy i konkursy.

Stajemy oto przed koniecznością „zaszeregowania" tego artysty. Tego „samouka". Czy jest tu możliwy jakiś wybór, który mógłby zaważyć w sposób istotny na naszej opinii? Zaspokoić do końca naszą ciekawość, dostarczyć refleksji na temat możliwości „dorabiania się" sukcesów, prestiżu artystycznego, nagród, dyplomów i medali? Nawet słabości, najzwyczajniejszych, głęboko zakamuflowanych — ludzkich?

A przecież chyba każdy, oglądający twórczość Płóciennika nie może na nią reagować obojętnie, bo po prostu dostrzega w nim artystę.

I tyle, nic więcej. Mówią o nim — artysta. I to jest prawda...

TELEOBIEKTYW

# TEM i obrazoburstwo

Od paru miesięcy co wtorek ekran na mniej więcej dwie godziny opanowują młodzi. Wzorem radiowego „Popołudnia z młodością" zagospodarowują przyznany sobie limit czasu systemem magazynowym. TEM czyli Telewizyjny Ekran Młodych wyszedł już, jak się zdaje, z wstępnego okresu kształtowania się i nabrał swoistego rytmu.

Nie oznacza to, oczywiście, że TEM zasługuje już tylko na pochwały, niemniej jednak w „topografii" całego programu TV zarysowuje się zdecydowanym konturem i oddziałuje nań jak odczynnik, ujawniający te i owe słabości naszej telewizji. Można by powiedzieć, że decydując się na TEM, kierownictwo programowe TV uczyniło krok ryzykowny. Łatwo bowiem stać się może, iż młodzi zaczną wyraźnie górować nad starszymi kolegami.

Pozornie TEM nie stawia sobie zadań w zakresie rewolucjonizowania programu telewizyjnego. Redagowany jest spokojnie, nie po efekciarsku, prowadzony naturalnie i w ścisłym powiązaniu z młodocianym odbiorcą. Okazuje się jednak, że młodzieżowe programy TEM oglądane są z przyjemnością także i przez dorosłych widzów, którzy twierdzą na przykład, że publicystyka jest tu lepiej i ciekawiej robiona niż to ma na ogół miejsce w telewizji.

Sięgnijmy do przykładów z odcinka TEM nadanego w dniu 13 maja. Zamieszczono tam dwa reportaże filmowe, jeden dotyczący młodo zawieranych małżeństw i ich nietrwałości, drugi — o parze narzeczeńskiej studiującej w odległych od siebie ośrodkach i czekającej cierpliwie aż powstaną materialne warunki do zawarcia małżeństwa. Oba reportaże, nawzajem się uzupełniające, są świadectwem dobrej roboty dziennikarskiej.

Przede wszystkim dotykały w sposób bezpośredni i zindywidualizowany spraw ludzkich. Nie miały w sobie nic z biurokratycznego protokołu, od których roi się w programach publicystycznych TV. Nie było w obu reportażach mentorstwa, ani przemądrzałego besserwisserstwa, którego także nie brakuje w „normalnej" publicystyce TV.

T—O nieraz zwracał już uwagę na słabości telewizyjnego dziennikarstwa. Wielu dziennikarzy włączono do pracy programowej w telewizji bez należytego przygotowania warsztatowego i psychicznego. Próbują oni kontynuować na ekranie nieco niedbałą, mało pomysłową manierę pracy dość typową — niestety! — dla gazet codziennych. Słabo napisaną pozycję w gazecie można jednak po prostu pominąć, w telewizji kłuje ona w oczy i staje się nieznośna.

Wielu dziennikarzy zatrudnionych w telewizji mogłoby od swoich kolegów z TEM nauczyć się, w jaki sposób walczyć z profesjonalnym rutyniarstwem i nudą programów publicystycznych. Cóż z tego bowiem, że porusza się na ekranie telewizyjnym ważne problemy społeczne i ekonomiczne, jeśli nie umie się znaleźć dla nich formy strawnej dla widza?

Bardzo ważnym czynnikiem, który wyodrębnia TEM w sposób korzystny z reszty programu, jest wspólna myśl porządkująca kolejne pozycje i spajająca je w jedną wartką całość. Znakomicie sprawdzają się przy tej okazji młodzi prezenterzy TEM, którzy nie zapatrują się na Edytę Wojtczak, Suzina, Pacha i inne profesjonalne gwiazdy, zachowujące w stosunku do telewidzów życzliwy dystans. Prezenterzy TEM czują się członkami młodzieżowej społeczności. Sygnalizują jak gdyby, że na ekranie znaleźli się na zasadzie wymiennej i że w każdej chwili mógłby ich zastąpić ktoś inny z młodych widzów.

Dochodzę tu do sprawy najważniejszej. TEM pozwala nam uprzytomnić sobie generalną wadę programu TV. Polega ona na przesyłaniu do milionów telewidzów bezkształtnego zlepka programowego, w którym redagowane są poszczególne pozycje, a całość co najwyżej koordynowana i to nie zawsze najlepiej.

Czy nie można by pomyśleć o podporządkowaniu pojedynczych programów i widowisk jakiejś generalnej myśli? Czy nie można by spajać je w jednorodne bloki, które prezentowane byłyby nie na zasadzie zapowiedzi spikerskich, ale bezpośredniej rozmowy z telewidzami?

Nie wątpię, że wysuwane tu postulaty nie są łatwe do zrealizowania. Ale może warto by spróbować? Kiedyś wysuwałem projekt stworzenia odrębnych redakcji dla poszczególnych dni tygodnia. Między takimi redakcjami, które zagospodarowywałyby czas emisyjny swojego dnia we współpracy z redakcjami problemowymi, mogłaby się wytworzyć zdrowa emulacja. Skorzystałby na tym tylko widz.

Wielka popularność kapitana Klossa i sukces Mikulskiego jako konferansjera w estradowym koncercie TV nasuwa myśl, że prezenterami programów powinni być właśnie ludzie cieszący się sympatią i zaufaniem widzów. Nie sztucznie przylepiony do ust spikera uśmieszek, ale rzeczowa, bezpośrednia rozmowa z telewidzami powinna stanowić spoiwo bloków programowych.

Do tak „obrazoburczych" myśli doprowadziło mnie oglądanie Telewizyjnego Ekranu Młodych. Wdzięczny jestem za to jego redaktorom!

Władysław Orłowski

## O FILMACH DOBRZE I ŹLE

W kilka miesięcy po premierze filmu Jerzego Passendorfera „Kierunek Berlin", w rocznicę Zwycięstwa wszedł na ekrany film „OSTATNIE DNI" będący, jak wiadomo, dalszym ciągiem dziejów jednej kompanii I dywizji im. T. Kościuszki. Spotkaliśmy się zatem znów z bohaterami, których pożegnaliśmy na czterdziestym kilometrze przed Berlinem, pożegnaliśmy po sforsowaniu Odry, a powitaliśmy znów w ostatnich dniach poprzedzających szturm na Berlin. Te dwie wielkie operacje strategiczne stanowią w obu filmach główne momenty batalistycznej panoramy i tło obrazu żołnierskiej zbiorowości.

Obecna możność spojrzenia na obie serie filmu Passendorfera pozwala w całości zrozumieć i ocenić intencje twórców. Starano się w tym filmie połączyć dwie najczęściej w filmie wojennym, zwłaszcza radzieckim, spotykane konwencje — formułę wielkiego widowiska batalistycznego i żołnierskiej anegdoty wojennej.

Oglądając obecnie drugą część filmu, musimy jednakże z żalem stwierdzić, że zamierzenia te nie zostały uwieńczone pełnym sukcesem. Część pierwsza filmu imponowała rozmachem scen batalistycznych. Zgłaszaliśmy wprawdzie pewne zastrzeżenia wobec pobieżności rysunku psychologicznego żołnierskich bohaterów, tłumaczyliśmy to jednak świadomym zamierzeniem ukazania zbiorowego, a nie jednostkowego wysiłku. W części drugiej twórcy filmu nie zachowali jednak konsekwencji w traktowaniu tematu, postawili na bohatera indywidualnego, którym wypełnili środkową część filmu, przekraczając nawet ramy epizodu. Ów epizod, sam w sobie efektowny i ciekawy, utrzymany w nieco szwejkowskim tonie, rozbija jednak dramaturgiczną jedność filmu. Domyślamy się, iż zwrócenie większej uwagi na Naroga (Wojciech Siemion) miało służyć wydobyciu wszystkich cech bohatera typowego, w tym wypadku żołnierza — plebejusza, który po zdobyciu Berlina powróci na ziemie odzyskane, by tam siać i gospodarować.

Owo poszukiwanie i prezentowanie typowości towarzyszy całej tej wojennej opowieści. Twórcy starali się uchwycić wszystkie problemy i nastroje, które towarzyszyły żołnierzom Armii Polskiej idącej na Berlin. W owym wszystkoiźmie leży właśnie pewna słabość filmu, podkreślona jeszcze bardziej tym, iż wśród wielu uciekających wątków naraz rozbuduje się jeden do rozmiarów wypełniających ogromną część filmu. Zdając sobie sprawę z trudności towarzyszących tej próbie epickiego ogarnięcia spraw, które decydowały o charakterze, działaniu i bohaterstwie żołnierskiej zbiorowości, gotowiśmy pewne grzechy filmowi przebaczyć.

Trudno nam jednak darować grzech główny. Przy próbie rekonstrukcji zdarzeń historycznych obowiązywać już musi konsekwencja żelazna. O ile obraz operacji forsowania Odry z pierwszej części filmu przemawiał rzeczowością, prawie dokumentalną surowością opisu, o tyle obraz szturmu Berlina pozostawia wrażenie dużego niedosytu. Pewne ubóstwo środków realizacyjnych, brak inscenizacyjnego rozmachu uderzają jeszcze bardziej w konfrontacji z wmontowanymi w epizody berlińskie fragmentami autentycznych kronik wojennych. Imponowała tu jedynie napraw dę monumentalna konstrukcja Bramy Brandenburskiej, której nie zdołano jednakże wykorzystać w pełni dla wydobycia emocjonalnej atmosfery, która mogła towarzyszyć symbolicznemu zatknięciu flagi polskiej i radzieckiej na jej szczycie.

Sądzić należy, że film J. Passendorfera nie jest jeszcze ostatnim słowem w dziejach polskiego filmu batalistycznego, któremu towarzyszyć winno poszukiwanie prawdy i historyczna refleksja.

Komedia „ZĄB ZA ZĄB" w reżyserii B. Christensena reprezentuje kinematografię duńską, której filmy są nader rzadkimi gośćmi na naszych ekranach. Treść tej komedii kryje się już w samym jej tytule, jeśli dodamy do niego przysłowie „gdzie dwóch się kłóci tam trzeci korzysta" będziemy już mieli pełny obraz przebiegu wydarzeń.

Jest ta komedia współczesną ilustracją starej bajki z morałem, której konwencje zachowano, rysując raczej typy, niż charaktery ludzkie i rozgrywając zdarzenia, ilustrujące założony z góry morał.

W tej opowieści o dwóch wojujących sąsiadach mieszkających w miłych domkach sytej w dostatki Danii zabrakło może silniejszych akcentów, które mówiłyby o „strasznych mieszczanach". „Ząb za ząb" jest właściwie komedią obyczajową z rozlicznymi gagami i elementami burleski. Wywodzi się ta komedia z tradycji Mack Senetta i przyznać trzeba, że scenarzysta i reżyser mogą nam zaimponować fantazją i pomysłowością w gromadzeniu gagów, tricków i nonsensów.

Szkoda, że chwilami dowcip robi się trochę płaski, szkoda, że miejscami słabnie tempo, którego werwę niepotrzebnie hamują epizody tyczące młodych bohaterów filmu, a właściwie niewiele wnoszące do całości niezłej w sumie zabawy, której humor w rozrachunku ostatecznym, tak jak w klasycznej Ezopowej bajce, wcale nie jest zbyt radosny.

EWA NURCZYŃSKA

# Kto, co, kiedy?

relacje

niedyskrecje

### W STULECIE ŚMIERCI LAMARTINE'A

„I'ai plus de politique que de poesie dans la tete" („Mam w głowie

więcej polityki niż poezji") — mawiał Lamartine. Był poetą, dyplomatą, politykiem, ale dziś w pamięci potomnych pozostał przede wszystkim poetą, który jako pierwszy utorował drogę bujnej twórczości romantycznej we Francji. Urodził się w roku 1790 w Macon i tam też odbyły się niedawno główne uroczystości dla uczczenia setnej rocznicy Jego śmierci. Na sesji naukowej wygłoszono szereg referatów o twórczości i życiu Alfonsa de Lamartine'a otwarto wystawę poświęconą mu oraz wręczono nagrodę jego imienia, w wysokości 10.000 franków Maurice'owi Toesca za dzieło pt. „Lamartine czyli miłość życia".

Alfons de Lamartine spędził dzieciństwo w skromnej posiadłości swego ojca w Milly pod Macon. Wcześnie objawia talent poetycki i wrażliwość na dziewczęta. Gdy ma lat szesnaście pisze poematy. Wkrótce chce się żenić, ale rodzice pośpiesznie wysyłają go do Neapolu. Pewnego dnia wraz ze swym przyjacielem wypływa barką na morze. Zrywa się burza i młodzi ludzie ratują się, dobijając łodzią do wysepki na której mieszka rybak ze swą piękną córką, Graziellą. Lamartine z miejsca zakochuje się w dziewczynie i zabiera ją do Neapolu. Idylla trwa krótko. Rodzice odmawiają funduszów i wzywają syna do Francji. W niedługi czas potem Graziella umiera. Równie tragicznie kończy się następny, wielki romans poety. W roku 1816, gdy przebywa w Aix-les-Bains, ratuje piękną i młodą kobietę przed utonięciem w jeziorze. Ta pełna uroku dama o czarnych włosach i podcienionych oczach, jest Julią Charles, żoną podstarzałego, znanego fizyka. W ciągu roku trwa romans Lamartine'a z tą chorą na gruźlicę kobietą. Julia umiera. Lamartine, nazwawszy ją Elwirą, wielką miłość i wielki smutek po stracie ukochanej opisze w pierwszym wydanym zbiorze poezji pt. „Pierwsze medytacje". Dzieło to wzbudziło powszechny zachwyt i przyniosło Lamartine'owi duży rozgłos.

W roku 1820 poeta żeni się z młodą Angielką Mary-Anną Birch. W latach 1820—1830 wstępuje do służby dyplomatycznej i przebywa głównie we Włoszech. Po rewolucji 1830 roku nie chcąc służyć Ludwikowi - Filipowi, usuwa się od służby dyplomatycznej. W trzy lata potem staje do wyborów i zostaje deputowanym nie przyłączając się do żadnej partii politycznej. Pisze „Historię Żyrondystów", a dzieło to rozpala i tak nabrzmiałe już nastroje rewolucyjne. Po dniach lutowych i upadku Ludwika-Filipa, Lamartine zostaje ministrem spraw zagranicznych. W czerwcu występuje jednak przeciw powstaniu ludowemu i to decyduje o końcu jego kariery politycznej. Przegrywa w wyborach na prezydenta, a po zamachu stanu w roku 1851 wycofuje się całkowicie z życia politycznego. Zrujnowany finansowo, poważnie zadłużony, z wysiłkiem utrzymuje się z wyrobniczej pracy literackiej, żyjąc w skrajnej nędzy. W tym jednak czasie pisze wspaniały poemat pt. „Winorośl i dom", w którym zawarł wspomnienia z czasów swego dzieciństwa w Milly.

Na dwa lata przed śmiercią otrzymuje dożywotnią, państwową rentę. Umiera w Paryżu w 1869 roku w całkowitym osamotnieniu.

Jego twórczość poetycka wywarła ogromny wpływ na romantyczną literaturę francuską i zapewniła mu trwałe miejsce w historii literatury.

### RENOIR RZEŹBIARZEM

Jakiś czas temu wybuchł spór o to czy rzeźby, które pozostawił po swej śmierci w roku 1919 Piotr August

*Piotr August Renoir — „Głowa Coco" (1907), odlew gipsowy.*

Renoir są jego dziełami. Pisaliśmy o tym w czerwcu ubiegłego roku.

Przypomnijmy pokrótce istotę sporu. Otóż pod koniec swego życia, Renoir, który mieszkał wtedy w Cagnes, miał ręce tak zreumatyzowane, że nie mógł samodzielnie rzeźbić. Pragnąc jednak wykonać kilka rzeźb zaangażował praktykanta, ucznia Maillola, dwudziestotrzyletniego Richarda Guino, który pracował pod stałą kontrolą i według dokładnych instrukcji Renoira. W wiele lat potem Guino i jego obrońcy twierdzili, że dzieła powstałe w ten sposób nie są rzeźbami Renoira, lecz że to Guino jest ich właściwym twórcą. Rozstrzygnięcie tej kwestii jest ważne, bowiem owe rzeźby mają dziś wielką wartość.

Renoir był jednak nie tylko wielkim malarzem, ale i świetnym rzeźbiarzem o czym świadczy m. in. wykonany w roku 1907, a więc na dwanaście lat przed śmiercią wielkiego artysty, medalion przedstawiający z profilu głowę Lolo, syna Renoira. Artysta ofiarował dzieło marszandowi Durand-Ruelowi, który odwiedził Renoira w Cagnes w roku 1907, a więc na długo przed bytnością Richarda Guino. Płaskorzeźba „Głowa Coco" świadczy więc najlepiej o tym, że Renoir z powodzeniem władał nie tylko pędzlem, ale i dłutem. Jest to jeden z poważnych argumentów przemawiających za tym, że to Renoir, a nie Guino, jest właściwym autorem rzeźb, o które toczy się spór, a które Guino wykonywał jedynie pod kierunkiem i nadzorem mistrza.

### IONESCO LAUREATEM NAGRODY KSIĘCIA MONACO

Wielką Nagrodę Literacką fundacji księcia Piotra z Monaco otrzymał w tym roku Eugene Ionesco, przedstawiciel tzw. awangardy paryskiej.

Debiutował antydramatem pt. „Łysa śpiewaczka" wystawionym w maju 1950 roku w małym teatrze paryskim „La Huchette", gdzie sztuka grana jest z powodzeniem aż do dziś. Zerwanie z dotychczasowymi formami dramatycznymi, posługiwanie się banalnym dialogiem, absurdem słownym i sytuacyjnym, nonsensem i groteską, parodią i niedorzecznością — oto główne cechy twórczości dramatycznej tego autora. Twórczość ta wywoływała u jednych oburzenie i irytację, u innych wzbudzała entuzjazm. Dziś Ionesco grany jest na scenach niemal całego świata.

Do najważniejszych dzieł Ionesco prócz „Łysej śpiewaczki" należą m. in.: „Lekcja", „Krzesła", „Nowy lokator", „Improwizacja", „Nosorożec" i „Król umiera".

Eugene Ionesco urodził się w roku 1912 w Rumunii, jako syn Rumuna i Francuzki. W latach swego dzieciństwa od 1913 do 1925 roku przebywał we Francji. Później mieszkał jakiś czas w Rumunii, gdzie uprawiał krytykę literacką. Od roku 1938 przebywa na stałe we Francji. Początkowo pracował w jednym z wydawnictw paryskich, a następnie poświęcił się wyłącznie pracy literackiej.

### TEATR OBRAZCOWA W PARYŻU

Słynny moskiewski Teatr Lalek pod kierownictwem Siergieja Obrazcowa występuje w Paryżu z widowiskiem zatytułowanym „Niezwykły koncert".

### „WIELKI PAŃSTWOWY BALET KANADYJSKI" W EUROPIE

Grupa „Wielkiego Państwowego Baletu Kanadyjskiego" przybyła do Europy, gdzie w różnych krajach odbędzie szereg występów. Balet zacznie swoje spektakle od Amsterdamu, a następnie odwiedzi m. in. Lozannę, Lyon, Brukselę, Paryż, Zurych.

## Spektakle tygodnia

| | spektakli | widzów | proc. |
|---|---|---|---|
| TEATR WIELKI | | | |
| „Romans gdański" | 2 | 2520 | 100 |
| „Zemsta nietoperza" | 1 | 1260 | 100 |
| Koncert telewizyjny | 1 | 1260 | 100 |
| „Jezioro Łabędzie" | 1 | 1260 | 100 |
| NOWY | | | |
| „Żeglarz" | 6 | 3600 | 90 |
| „Dziś do Ciebie przyjść nie mogę" | 4 | 2800 | 100 |
| „Rewizor" | 1 | 500 | 75 |
| MAŁA SALA | | | |
| „Księżyc świeci nieszczęśliwym" | 1 | 200 | 100 |
| „Bliski nieznajomy" | 3 | 500 | 90 |
| POWSZECHNY | | | |
| „Kawior i kaszanka" | 2 | 1000 | 82 |
| „Płaszcz" | 1 | 400 | 70 |
| im. JARACZA | | | |
| „Wesele" | 4 | 2520 | 100 |
| „Anabaptyści" | 1 | 560 | 90 |
| 7.15 | | | |
| „Demoniczny nadkabaret" | 2 | 840 | 100 |
| OPERETKA | | | |
| „Turniej w Rio de Maracasso" | 6 | 5210 | 77 |
| FILHARMONIA | | | |
| Koncert „Łódzka Wiosna Artystyczna" | 2 | 860 | 56 |

# Od niedzieli do niedzieli

### PIĘKNO I POŻYTEK SŁOWNIKÓW

MUZYKA SŁÓW — WIDOK W TRZECH JĘZYKACH — KPINY Z „ROZMÓWEK" — PRZECENIONY KARŁOWICZ — CO TO JEST OPĘTNIK? — OBSZARY POLSZCZYZNY.

Pani Jadwiga Ekiertowa — dyrektor Klubu Międzynarodowej Prasy i Książki posadziła mnie za ladą i rzekła: „oto jakimi słownikami dysponuje nasza księgarnia". Po chwili wyrosła przede mną piramida ksiąg, książek, książeczek i bibelocików wielkości pół pudełka zapałek, których właściwie już nawet książką nazwać nie można. Same słowniki!

Wielki, dziesięciotomowy słownik polsko-niemiecki, wielki, angielsko-polski, francusko-polski, włosko-polski, hiszpańsko-polski, węgiersko-polski... Dalej seria: niemiecko-hiszpański, niemiecko-grecki, niemiecko-serbochorwacki, niemiecko-bułgarski, niemiecko-norweski... Potem zupełnie już przedziwne na łódzkim bruku: włosko-francuski, czesko-niemiecki... Na półkach i w magazynach KMPiK znajduje się samych tylko słowników za 200 tys. złotych. Kupują je ludzie, bo słownik posiada tę swoistą urodę, jakiej nie ma żadna inna książka. Fabuła co prawda w nim wątła, ale za to jakiż piękny i bogaty język. Na przykład zwykły zawiadowca stacji kolejowej, ten pan w czerwonej czapce i z lizakiem, postać niby zwykła, a ileż egzotyki... Po niemiecku — Bahnhofsvorsteher, po francusku — chef de gare, po rosyjsku — naczalnik stancji... Albo miły sercu memu widok — ansicht, vue, wid... Języków obcych można „nie posiadać", ale gdy się ma dobry komplet słowników roztoczą się przed nami uroki tej najpiękniejszej muzyki świata jaką jest mowa ludzka.

Słownik — brzmi to trochę jak słowik, ale bardziej miękko. Zasłużona encyklopedia Gutenberga sprzed lat kilkudziesięciu podaje w tomie szesnastym pod hasłem „słownik": „zbiór wyrazów od noszących się do danego języka lub danej umiejętności, ułożony w porządku alfabetycznym z wyjaśnieniem ich znaczenia, względnie przekładem na język obcy".

Nasza współczesna Wielka Encyklopedia Powszechna formułuje to podobnie: „rodzaj publikacji obejmującej wykaz wyrazów zwykle w układzie alfabetycznym, wraz z objaśnieniami".

Ale jak zakwalifikować popularne „rozmówki"? Ma ich także sporo na składzie KMPiK — angielskie, włoskie, rosyjskie... Kupują je ludzie „do poduszki", na turystyczny wojaż, choć poligloci nie są zachwyceni. Ale „rozmówki" zawsze były przedmiotem żartów. Już w roku 1898 warszawska „Mucha" kpiła z podobnych wydawnictw podając przykłady: „czy ma pan drobne?" (Awe wu le pti?), „Jestem waszym miastem zbudowany" (siui awek wotr will konstriui)... Lata jednak minęły a „rozmówki" zawsze modne i potrzebne.

Piękno i pożytek słowników to sprawy tak oczywiste, że zadumałem się nad wykazem książek przecenionych. Znalazłem tam bowiem osiem tomów Słownika Języka Polskiego J. Karłowicza, które dziś można kupić po 50 zł. choć dawniej kosztowały po złotych 125. Mało tego! Znalazłem na tej liście pięć tomów Słownika Polskiego M. Lindego, które dziś kupić można jeszcze taniej, bo po złotych trzydzieści. Strasznie jesteśmy zarozumiali, jeśli nam się zdaje, że poznaliśmy tak dokładnie polski język, że rezygnujemy z wędrówek po pięknych promenadach słownikowych haseł...

Ale słowniki to przecież nie tylko nauka języków obcych i zarośla i chaszcze własnego języka, to nie tylko szeregi opasłych tomów Orgelbranda, Brucknera, Arcta, Chodźki, Hory, Karłowicza czy Kalinny... To nie tylko bijący rekordy popularności słownik wyrazów obcych Kopalińskiego (już szóste wydanie!), słownik, w którym znajdziemy hasła „skaldowie" (staroskandynawscy poeci i hagiografowie) czy „trubadurzy" (kompozytorzy i śpiewacy, często ze stanu rycerskiego działający od XI do końca XIII wieku...) I chociaż „No To Co" u Kopalińskiego brak — stała się ta książka biblią cywilizacji „Przekroju" (zawsze dobrze o nim mówię).

Ale — powtarzam — to jeszcze nie wszystko. Słowniki to także te niskonakładowe, branżowe i specjalistyczne leksykony kryjące w sobie najczystszą poezję. Na przykład koaksjalny plastyfikator — termin tak uroczy, że rozkoszując się jego brzmieniem zapomniałem nawet co właściwie oznacza.

Albo wydany przed laty „Słownik żeglarski", w którym znajdziemy takie dźwięczne słowa jak knaga, grumot, zęza lub tak egzotyczne jak dalba, hulk, albo tak figlarne jak opętnik co oznacza po prostu otwór w pokładzie... Julian Tuwim napisał kiedyś: „człowiekowi się zdaje, że zna język, którym mówi i pisze... Ale niech poczyta kilka słowników fachowych, a przekona się, że nie ma tzw. zielonego pojęcia o całych wielkich obszarach polszczyzny"...

Cóż tu dodać — chyba tylko to, że każda z tych książek określanych w encyklopediach mianem „zbioru wyrazów" jest przedziwnym oceanem. Żyją w nim słowa dumne i dostojne, figlarne i śmieszne, swojskie i egzotyczne. I dlatego słowniki są piękne, bo niosą w sobie ową mnogość rzeczy.

JERZY WIDOK

# Bez strachu

### BOCIAN I ZAJĄC

Spotkałem ich na łące idąc drogą polną. Bocian chyba dostrzegł mnie znacznie wcześniej niż ja jego — co do szaraka to zakryty był wysoką trawą i sądzę, że nie wiedział o moim nadejściu — może bocian poinformował go o mnie, że jestem i nadchodzę. Bocian był tak ogromny, że jeżeli przyjmiemy zasadę, że ktoś przed kimś musi uciekać, trudno rozstrzygnąć było kwestię czy on powinien uciec przede mną czy ja przed nim. Wreszcie bocian uszedł, z ostentacyjną powolnością poruszając skrzydłami. Dopiero po jego nieśpiesznym odlocie dostrzegłem szaraka, który kicał powoli, w drugą stronę. Oczywiste, obie ucieczki były zbyteczne, nie jestem łowcą, ani wrogiem bocianów i zajęcy. Sądzę też, że obaj za takiego mnie wzięli — po prostu była to manifestacja wzgardliwego i nieufnego stosunku do gatunku, który reprezentuję. Wzgardzony tak i zelżony stałem samotnie na drodze. Pragnąłem myślowego i uczuciowego odwetu nad zbiegłymi — przecież bociany są wrogami zajęcy, porywają młode zajączki. Czyżby zatem ów zając był renegatem skoro przestawał z bocianem? Może był to reprezentant zajęcy, który z reprezentantem bocianów przeprowadzał właśnie zasadniczą konferencję. W każdym razie rozbiegli się w przeciwne strony i nowe spotkanie nieprędko nastąpi. I tak jakąkolwiek drogą czy ulicą idę przeżywam sprawy, których nie rozumiem i przez które nie jestem rozumiany. Zbyteczne ucieczki, fałszywe pogonie, niepotrzebne milczenie i niepotrzebne słowa. Świat narzuca mi rolę, której nie rozumiem, której nie chcę grać a jednak gram ją bezwiednie każdym ruchem, gram na ślepo i groźnie chociaż niewinnie. Ludzie udają, że robią coś innego niż robią, albo udają, że nic nie robią. Zapewniam, nie jestem stróżem ani nadzorcą świata, ani jednego miasta ani jednej ulicy, ani jednego domu. A jednak gdziekolwiek się zjawiam, przeżywam naturalny tok zdarzeń — dlatego świat wydaje mi się fragmentaryczny, niespoisty, alogiczny. Wierzą w racjonalny rozwój bytu poza moim mieszkaniem, kiedy siedzę zamknięty w mieszkaniu. Wtedy wszędzie poza moim domem panuje rozum — naturalna ciągłość praw fizyki, moralności, ekonomii. Wystarczy jednak, że otworzę drzwi — natychmiast ktoś przyśpiesza albo zwalnia kroku na schodach. Sklepikarze przerzucają główki sałaty, zadumani dozorcy patrzą na mnie oparci na miotłach. Starsze panie sprawdzają zatrzaski torebek, młodsze panie obciągają sukienki tak krótkie, że prawie już nie istnieją ce. Stada wróbli i gołębi uciekają z wrzaskiem, bociany odlatują, uciekają zające. Stoję lub chodzę bezradny. Sprzedawcy uważają mnie za łakomcę sałaty, dozorcy za zamiatacza, starsze panie za złodzieja, młodsze za erotomana, oprócz tego jestem pożeraczem wróbli i gołębi, mordercą bocianów i łowcą zajęcy. Może by jakoś skończyć z tym nonsensem. W pogodne dni będę siadywał na łące — bocian położy dziób na moim ramieniu, szarak głowę na mojej nodze i będziemy tak wypoczywać w zupełnym spokoju bez względu na to kogo zobaczymy, kto będzie szedł ku naszej łące polną drogą.

BERNARD SZTAJNERT

PAT MCGERR

# Błąd

(dokończenie)

Tymczasem prasa coraz częściej zajmowała się wypadkiem w willi Seldenów. Nie wypowiadano się jednak ani za winą ani za brakiem winy Karola. Sprawozdania z biegu sprawy pozwalały mniemać, że tylko Selden potwierdzał istnienie złodzieja.

— Sąd przysięgłych powinien się zebrać bez nacisku opinii przed procesem — miotał się Karol pokazując gazetę adwokatowi.

— Nie można zmusić prasy do milczenia, chyba że usiłuje publikować fałsze — tłumaczył adwokat.

— Jeżeli się chce można zawsze podstępnie zmienić prawdę, przedstawić rzeczy w fałszywym świetle — Karol zgniótł gazetę i rzucił ją do kąta. Nie zaprzeczam, że Helena była bogata, a ja ubogi. Przed jej poślubieniem byłem komiwojażerem, po ślubie zostałem wiceprezesem spółki. Lecz nie dla tego ożeniłem się z Heleną. A nawet przypuśćmy, że w tym celu to zrobiłem — co innego jest ożenić się dla interesu — a co innego zabić.

— Początkowo żyliśmy w zgodzie, lecz to nie trwało długo. Bo czy mogło trwać? Nie nadaję się na utrzymanka. Miałem pomysły przeprowadzenia różnych ulepszeń w przedsiębiorstwie, reorganizacji biegu interesów. Przeszkodziło mi jednak zawsze veto mego szwagra Artura Kenta. Uważał on, że winienem ograniczyć się do inkasowania wysokiej pensji, trzymając się z dala od interesów i uszczęśliwiając jego siostrę. Pierwsze prawie mi się udało, w drugim odniosłem porażkę. Helena i ja zaczęliśmy pić. Czasem kłóciliśmy się nawet publicznie. Ale po co ja to mówię? Artur na pewno wszystko panu opowiedział.

— Owszem, zapoznał mnie z wieloma szczegółami waszego życia.

— Cóż, świadków bankructwa naszego małżeństwa nie brak. I to teraz nie polepszy zapewne mojej sytuacji, prawda?

— To wszystko nie będzie się liczyło, jeżeli się znajdzie prawdziwy przestępca. Mam dla pana dobrą wiadomość, panie Selden. Artur Kent zaangażował prywatnego detektywa, aby pomógł w poszukiwaniach prowadzonych przez policję.

— To bardzo uprzejmie z jego strony. Muszę przyznać, że mnie to zaskoczyło. Bo sądząc według istniejących między nami stosunków, przysiągłbym, że zatańczyłby z radością przed moją szubienicą.

— Pan Kent jest przekonany o pana niewinności. Dyskutowaliśmy wiele na ten temat, zanim zgodziłem się bronić pana. Pański szwagier nie ma zbyt wysokiego mniemania o panu, lecz zna pana od dawna i uważa za człowieka niezdolnego do popełnienia zbrodni świadomie zaplanowanej.

— Czy z powodu rozumu, czy braku kręgosłupa? — zapytał Karol.

— Pan Kent pragnie przede wszystkim, aby zabójca jego siostry został znaleziony i oddany w ręce sprawiedliwości. Ponadto chce uniknąć skandalu, który by wynikł z pana procesu i ewentualnego wyroku skazującego.

Selden wstrząsnął się. — To typowe dla jego mentalności. Być zabitym przez człowieka obcego nie jest wstydem, lecz mieć zbrodniarza w rodzinie — to plama na wieki. No tak, ale jeżeli obraz zmieni się? Gdyby dowody przeciwko mnie stały się poważniejsze, także Artur opuściłby mnie.

— Czy pan myśli o jakimś szczególnym dowodzie, panie Selden?

— Nie, nie myślę. Dowodów nie ma, jeżeli chodzi o oskarżenie dokonania zbrodni. Cokolwiek policja znajdzie — może tylko potwierdzić moje zeznania, udowodnić, że istotnie tego wieczoru był złodziej w domu i strzelił do Heleny. Lecz są także inne fakty, nie mające nic wspólnego z tamtą strzelaniną, a które mogą wpłynąć na zmianę postępowania Artura. Co wtedy będzie z moją obroną? Ja nie mogę tknąć pieniędzy Heleny, aby opłacić adwokatów, dopóki siedzę w więzieniu.

— To jest prawda. Dopóki jest pan oskarżony o zabójstwo, nie może pan odziedziczyć ani centa. Lecz proszę się nie martwić. Pan Kent mi płaci lecz moim klientem jest pan. Moim obowiązkiem jest pana bronić niezależnie od nacisków z zewnątrz.

* * *

Prywatne poszukiwania nie przyniosły pożądanych rezultatów. Nadszedł dzień procesu. Karol czuł się jak ogłuszony.

— Wszystko pójdzie dobrze — powtarzał sobie, aby zwalczyć rosnące napięcie. Opowiem wszystko sędziom przysięgłym i oni mi uwierzą. Muszą uwierzyć.

Przechylił się w stronę adwokata i ścisnął jego ramię. — Gdzie jest ten złoczyńca? Dlaczego nie potraficie go odnaleźć? Trzeba szukać tego człowieka!

Nie znaleźli mężczyzny, ale znaleźli kobietę.

W czasie trzeciego posiedzenia sądu Diana zajęła miejsce na ławie świadków, jako główny świadek oskarżenia. Ujrzawszy ją, Karol zrozumiał, że wszystkie jego nadzieje rozwiewają się. Widać było, że kobieta świadczyła wbrew swej woli, lecz opór jej nie wynikał z lęku o życie Seldena. Bała się skompromitować swą opinię.

Sypały się pytania jedno po drugim. Prokurator wyciągał z zeznań kobiety wszystkie przeklęte szczegóły ich stosunku.

— Czy może pani przytoczyć dowody, że oskarżony miał zamiar panią poślubić — zapytał prokurator.

— O, tak! — Teraz Diana mówiła z większą pewnością siebie. Od pierwszej chwili przyrzekł mi, że się postara o rozwód, abyśmy mogli się pobrać.

— A gdy pani zauważyła, że nie mógł otrzymać rozwodu?

— Wówczas mu powiedziałam, że wszystko między nami skończone i że się już nie zobaczymy.

* * *

Karol dokładnie przypominał sobie tę scenę z Dianą. Tego dnia wieczorem zgodził się pojechać z Heleną w góry. Lecz w miarę upływu czasu, po kilku tygodniach, zaczął się łudzić, że Diana mogła zmienić decyzję. Jej gniew — tłumaczył sobie — jej rozczarowanie były przecież zrozumiałe. Czuła się zawiedziona, prawie zdradzona. To niemożliwe, aby Diana myślała tylko o pieniądzach — a nie o nim. Mówiła tak, aby go zranić.

Napisał do niej list, ale nie otrzymał odpowiedzi. Rosło w nim pragnienie powrotu do miasta. Helena musiała coś przeczuwać, bo z uporem przedłużała pobyt w willi.

Teraz na rozprawie sądowej Karol zobaczył swój list miłosny, załączony do akt jako dowód obciążający. Rozpaczliwie usiłował sobie przypomnieć jego treść: „Kocham cię, jesteś mi potrzebna. Przyrzekam ci, że niedługo ułożę pomyślnie nasze sprawy i będziemy zawsze razem. Tylko to jest dla mnie ważne, Diano". Pisząc ten list myślał, że porzuci spółkę Kentów, znajdzie inną pracę, rozwiedzie się z Heleną i poślubi Dianę.

Jego słowa, odczytane głośno na sali sądowej przez prokuratora, nasuwały wszystkim myśli, że Selden jest zabójcą bez skrupułów, że pragnął pozbyć się żony, aby odziedziczyć jej majątek i utrzymywać tę ładną i kosztowną dziewczynę.

Rozpacz nie opuszczała go już przez cały czas procesu.

Prokurator stawiał pytania sarkastycznym tonem. — Panie Selden, czy chciałby pan nas przekonać, że ten nieznajomy, który okazał się doświadczonym strzelcem, trafiając pana żonę w serce, spudłował mierząc do pana?

— Nie znam jego przymiotów jako strzelca.

— A więc może pan pozwoli, że coś panu przypomnę. Jak wykazała ekspertyza policyjna padły trzy strzały. Jeden zabił panią Selden, drugi znaleziono w ścianie między dwoma łóżkami, trzeci musnął pańskie ramię. Chyba więc nie zechce pan nas przekonywać, że mnie many złodziejaszek był zdolny trafić w serce pani Selden, lecz okazał się niezręcznym dyletantem celując do pana z tej samej odległości.

— Bo ja się poruszałem, gdy strzelał do mnie.

— Ach tak, pan się poruszał, czyli — jeden strzał się nie udał, a drugi musnął pana ramię. I chciałby pan nas przekonać, że ów tajemniczy napastnik, strzelając do ruchomego celu, strzelił w ten sposób, że zostawił tylko mały znak, aby go mogła spostrzec policja, lecz aby pan nie poniósł szkody. Czy pan sądzi naprawdę, że ktoś panu uwierzy w to wszystko?

— Ależ to prawda! — krzyknął Karol — Tak właśnie było.

— Nikt w te bajki nie uwierzy. Jestem przekonany, że po zabiciu żony strzelił pan do muru, następnie zranił się w ramię, aby podeprzeć tezę o nocnym napastniku.

— Nie strzelałem do siebie. Złodziej był w naszym pokoju. To prawda.

Przemówienie prokuratora było suche i przekonywające.

— Gdyby mówił o kimś innym i ja bym mu uwierzył — myślał Karol. Uwierzyłbym, że oskarżony, pochłonięty namiętnością do kobiety, uknuł plan zamordowania swej żony i wtargnął do willi sąsiada, aby zaopatrzyć się w broń.

— Dlaczego uważają mnie za takiego głupca? — zwrócił się do adwokata w czasie, gdy oczekiwano wyroku. — Mógłbym tak postąpić, jak to przedstawił prokurator, ale przecież sam sobie zarzuciłbym pętlę na szyję. Wymyślić złodzieja, który nie istnieje, to byłby zbyt głupi pomysł. A tymczasem złodziej istnieje i ktoś musi go wreszcie znaleźć.

— Szukamy go i dalej będziemy szukali — odpowiedział adwokat.

Werdykt był szybki i nikogo nie zdziwił. Karol Selden został uznany winnym zabójstwa.

— Założymy apelację — pocieszał go adwokat. Przekonałem pana Kenta, aby ofiarował nagrodę temu, kto mógłby dostarczyć informacji na temat prawdziwego zbrodniarza. Nie poddajemy się jeszcze.

Wysłuchał spokojnie wyroku śmierci.

Na kilka dni przed datą egzekucji zjawił się w celi adwokat, aby zdać sprawę z rezultatów ofiarowanej przez Kenta nagrody.

— Jak dotąd niewiele osiągnęliśmy — opowiadał adwokat. Zjawiło się już kilku amatorów do zainkasowania nagrody, ale nic nie wnieśli do naszych poszukiwań. Teraz znów mamy kogoś chętnego, nie jest to wprawdzie typ budzący zaufanie, lecz jego oświadczenie trzyma się całości.

— I cóż on mówi — zapytał Selden.

— Człowiek ten twierdzi, że owej nocy, kiedy zdarzyło się morderstwo, około godz. 3-ej jechał autem główną drogą, która łączy się z uliczką, prowadzącą do waszej willi. Policja odebrała pana telefon o godzinie 3 min. 10. Ów szofer mówi, że zatrzymał go jakiś młody człowiek i prosił o podwiezienie. Miał około dwudziestu lat, niewysoki, wątłej budowy, nosił skórzaną kurtkę i dżinsy. Odpowiada to opisowi, który pan podał na rozprawie sądowej.

— Był niższy ode mnie — zgodził się Karol. — Pamiętam, że mnie to wówczas ucieszyło.

— Świadek dowodzi, że młodzieniec okazywał wielkie zdenerwowanie. Powtarzał kilka razy, że musi jak najprędzej opuścić tę okolicę. I jeszcze jeden szczegół — na lewym policzku miał głęboki ślad zadrapania, jakby paznokciem.

— Zadrapania? — Karol poderwał się. — Ależ tak, na pewno! Rzuciłem się na niego, podrapałem mu twarz. Pamiętam. I właśnie prawą ręką, moje lewe ramię było zranione. Dlatego podrapałem lewy policzek. Ten człowiek mówi prawdę. Widział złodzieja, zabrał go do auta, może potwierdzić to, co mówiłem. Teraz wszystko się dobrze skończy!

— Mam nadzieję — rzekł adwokat bez entuzjazmu. Przypuszczam, że znaleźliśmy kotwicę, której nam brakowało.

Przez cały tydzień Selden żył nadzieją. Lecz ostatniego dnia wszystko runęło. Sędzia uznał, że zeznanie szofera nie wystarcza, aby usprawiedliwić wznowienie procesu.

— Ależ to niemożliwe — szlochał Karol — mamy naocznego świadka, który potwierdza to, co ja mówiłem. Powinni mu wierzyć! Dlaczego ten człowiek miałby kłamać?

— Aby otrzymać nagrodę — przypomniał adwokat. Na nieszczęście dla pana, nasz świadek nie ma papierów w porządku. Udowodniono mu, że był już dwukrotnie karany za fałszywe zeznania, siedział w więzieniu. Sędzia twierdzi, że za tysiąc dolarów nagrody byłby gotów przysięgać na wszystko. Nawet gdyby zjawił się przed procesem, jego świadectwo nie miałoby znaczenia.

— Przecież widział tego człowieka — upierał się Selden — może wskazać, dokąd się udał.

— Niestety, zostawił go na stacji kolejowej, a tam nikt sobie nie przypomina, żeby go widział. Mógł wskoczyć do jakiegokolwiek pociągu. Może udał się na stację autobusową. Nie pozostało po nim żadnego śladu.

Teraz pozostawało tylko czekać, upływające godziny zbliżały go do śmierci.

Karol nieustannie powracał myślami do samego początku tragicznego wydarzenia w willi, do owej nocy, kiedy sprawa wydawała mu się łatwa i pewna. Widział się znów przy oknie, jak ogląda ślady złodzieja odbite na śniegu i przyzwyczaja się do myśli, że Helena nie żyje. Potem — jak odwrócił się powoli od okna i uczynił kilka kroków w kierunku telefonu. I jak nagle w ciemnościach usłyszał głos Heleny.

— Czy już sobie poszedł? Pozwoliłeś mu uciec?

— Tak, uciekł. Myślałem, że cię zabił.

— Nic mi się nie stało. Upadłam na poduszkę, gdy do mnie wycelował. Strzał przeleciał blisko, lecz nie dość blisko, prawda?

Selden znów widział jak Helena wyciąga rękę, aby zapalić nocną lampkę. W jej świetle uśmiech kobiety był ironicznym wyzwaniem.

— Jesteś rozczarowany? Pewnie już liczyłeś pieniądze, które porwiesz dla siebie i dla tej baby. Prawda? — Pomyśl — gdyby bandyta umiał lepiej celować, jaki świetny interes dla ciebie.

— Tak — potwierdził Karol spokojnie — ułatwiłby mi życie.

Mówiąc to myślał, że tam przez las biegnie w tej chwili ktoś, kto przyniósł tu broń i strzelił do Heleny. Jeżeli go schwytają i powiedzą mu, że Helena nie żyje, nie będzie mógł stwierdzić, że jej nie zabił...

Powoli podniósł pistolet i zaczął celować. Widział jak twarz Heleny zmieniała się: najpierw szyderstwo, potem niepokój — i wreszcie strach. Nim zdążyła krzyknąć, nacisnął cyngiel.

(Oprac. A. S.)

## Lewym okiem

### ŻE KOŃ, ŻE DRZEWO...

*Nie ma mowy o tym, żeby ktoś rozsądny śmiał podnieść głos przeciwko postępującemu lawinowo podziałowi pracy. Tak musi być. Zakres umiejętności, który niedawno jeszcze stanowił zawód, jest dzisiaj zespołem kilku lub kilkunastu zawodów. Dalsza ewolucja spowoduje być może takie rozłożenie każdego działania na czynności elementarne, że każdą z nich wykona po prostu maszyna. Wtedy zacznie się proces odwrotny: syntetyzowania wiedzy i umiejętności ludzkich. Coraz lepsze maszyny opanują coraz większe zespoły czynności. Pole do popisu dla rozumu i woli ludzkiej będzie się zaczynać coraz wyżej, od coraz wyższego poziomu koordynacji i syntezy w górę.*

*Właściwie to nawet nie wiadomo, czy urzędnik — to jest zawód, czy forma istnienia, czy powołanie. Bardzo łatwo zestawić dwóch łysych jegomościów, piszących w ankietach, że są urzędnikami, z których każdy będzie wiedział i umiał coś zupełnie innego i na odwrót — nie będzie miał pojęcia o sprawach, którymi para się ten drugi. Mogą to być panowie z tej samej instytucji. Mogą to być nawet panowie, siedzący od dwudziestu lat w tym samym pokoju, przy sąsiednich biurkach, i zajmujący się pozornie tym samym: na przykład nadzorowaniem produkcji szelek. Tyle, że jeden z nich — jak to się pięknie mówi — operuje szelkami „w skali roku", czyli opracowuje roczne plany i bilanse szelek, zestawia zapotrzebowania z możliwościami produkcyjnymi, nie widzi szelek na oczy przez całe życie, widzi tysiące cyfr i przepisuje je z kartki w kartkę; drugi natomiast też nie widzi szelek przez całe życie, też widzi tylko cyfry, ale są to cyfry oznaczające koszty własne producentów szelek i ceny, wynikające lub nie wynikające z tych kosztów. Bywa, że jest to nie dwóch, lecz czterech panów: jeden wie wszystko o kosztach materiałowych szelek, drugi o kosztach robocizny, trzeci o narzutach, a czwarty o stosunku cen do całej reszty. Zupełny koszmar, ale naprawdę inaczej nie może być!*

*I teraz wyobraźcie sobie, że „odnośny" resort w Warszawie zapowiedział naradę w sprawie eksportu wyrobów elastycznych. Szelki też są wyrobem elastycznym. Któż zgadnie, jakie pytania wymyślą w Warszawie? Ile produkujemy szelek w kraju? To wie ten pierwszy pan, planista „w skali". A ściślej mówiąc — nie wie, tylko wie, w których papierach tego szukać; może znajdzie. To samo drugi pan o kosztach i tak dalej. Do tego dojdą panowie z central handlu krajowego (ten co kupuje w hurcie, ten co sprzedaje w hurcie, ten co kupuje dla przemysłu odzieżowego — i legion dalszych), panowie z central handlu zagranicznego (ten z kierunku K K, z kierunku K S, ten od wymiany, od clearingu, od umów i traktatów, od cen dewizowych i legion dalszych), panowie z centrali zaopatrzenia (ten od gumy, drugi od sprzączek, trzeci od guzików i cały legion dalszych), panowie z kilku przemysłów kooperujących — oraz przystawki takie, jak Instytut, Laboratorium, Komisja, Ośrodek i Porozumienie Wiodące. I już hotele w Warszawie pełne.*

*Angielska firma, importująca z Polski takie czy inne wyroby, przysyła do nas od lat tego samego pana z notesem w kieszeni. My, kupując w Anglii jakiś — powiedzmy — rodzaj masy plastycznej, wysyłamy tam co kwartał ośmioosobową delegację na parę tygodni, za każdym razem inną. Delegacja chodzi po londyńskich ulicach z pękatymi teczkami ze świńskiej skóry i więcej czasu zużywa na „konsultowanie się" we własnym gronie oraz na gorączkowe telefony do kraju, niż na rozmowy z Anglikami. Zawsze się bowiem okazuje, że najpotrzebniejszy byłby ten dziewiąty fachowiec, który nie przyjechał.*

*Zabrzmi to jak paradoks, ale wydaje się, że ta atomizacja kompetencji w aparacie zarządzania jest prostą funkcją nadmiernej centralizacji. Co to jest struktura? Struktura — to coś, co jest czymś więcej niż sumą własnych części. A jeśli poszczególne atomy sumowane są w jeden tylko ogromny, plazmoidalny zbiór, w jedną strukturę — to wszystkie ogniwa pośrednie są zbędne i żyją życiem cieni, przekaźników, stacji pocztowych. Nie ogniskują się w organa, panujące nad zbiorami różnego szczebla i zorientowane w sprawach tych zbiorów. Są tylko atomy — i całość wielka jak morze. Specjaliści coraz bardziej wyspecjalizowani, i ogrom problemów, coraz mniej możliwych do pojęcia.*

*Jeśli to jest jakieś „obiektywne prawo" postępu, to dobrze skończyć się nie może. Ale ludzie myślą. Nie tylko, „że Staś, że koń, że drzewo", jak Tuwimowi strasznomieszczanie. Również i to, „że las, że miasto, że kraj". Może znajdą jakąś radę na pogodzenie wąskiej specjalizacji z szerokim spojrzeniem na sprawę?*

ĆWIEK

Redaguje zespół: Jan Koprowski (red. naczelny), Karol Badziak (dział terenowy), Halina Bekowa (red. techniczny), Konrad Frejdlich (dział publicystyki), Andrzej Makowiecki (dział reportażu), Jerzy Wilmański (dział kulturalny), Teresa Wojciechowska. Wydawca — Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa" w Łodzi. Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 96, telefony: 244-79, 217-98 oraz 292-00 wewn. 29, 39, 40, 41 i 42. Warunki prenumeraty: miesięcznie 6 zł, kwartalnie 18 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa" Łódź, ul. Żwirki 17. Zam. 1147. V. B-4.